Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z NOWYM ROKIEM.

Wśród płatków śniegu i ciszy borów, ściele się Rok Nowy jak myśliwska ponowa. Kartę białą ściele przed nami, a w dali mgły nieznanej przyszłości.....

Co na śniegu zwierz wypisze, co na nim szarak zakluczy, dzik wybuchtuje lub lis swemi zdradzieckiemi chodami naznaczy — to pozna myśliwy. Zarzuci dwururkę na ramię i po tropach dojdzie do zdobyczy.

Ale co mu Rok Nowy na białej karcie przyszłości napisał, któż zgadnie?

To też puszcza się w nieznaną knieję przyszłości, z okiem bystro otwartem, z wieczną przezornością, jak z palcem na cynglu, a mimo to nie polega jeszcze na własnych siłach i na własnym rozumie, i oddaje się pod opiekę Bogu, aby go strzegł od sideł namiętności, od wilczych dołów zdrady i strzał nienawiści.

A w tym pochodzie w nieznaną dal życia zasypiać mu nie wolno. Z myślą nietylko o sobie, lecz o swej ziemi rodzinnej, jej wielkich sprawach, jej bogactwach, chwale i jej przyszłej doli — z niezłomną energią przezwyciężania zapór w pracy nad przyszłością — z gotowością do walk i z zapałem zdobywania coraz piękniejszych trofeów — iść mu należy naprzód, do mety, którą mu Bóg naznaczył.

A więc z Bogiem naprzód!

Serdeczne życzenia niesiem całej naszej drużynie łowieckiej, ażeby dalsza droga życia każdego z niej, nie szła w tym Nowym Roku przez zbyt wiele cierni i wilczych dołów!

Z życzeniem tem rozpoczynamy nowy, szesnasty rocznik naszego pisma, i prosimy o tę serdeczną życzliwość i o to poparcie, jakiego „Łowiec“ zawsze w gronie naszych myśliwych doznawał.

Łowiectwo polskie na Wystawie roku 1894.

W program powszechnej Wystawy krajowej, która pod jak najlepszemi wróżbami na r. 1894 we Lwowie się przygotowuje, wprowadzonem zostało i łowiectwo. Ambicya i honor łowców polskich są więc w najwyższym stopniu zaangażowane, aby Wystawa łowiecka wypadła jak najlepiej, ażeby dała raz nam samym zupełny obraz tej odwiecznej, prawdziwie narodowej gałęzi życia towarzyskiego i gospodarskiego, jakiem bywało w Polsce łowiectwo, i żeby bogactwem i świetnością swą olśniła obcych, którzy Wystawę naszą zwiedzać będą.

Zadanie urządzenia takiej Wystawy nie jest łatwem; wymagać ono będzie współdziałania wszystkich miłośników łowiectwa, wszystkich właścicieli cennych zabytków łowieckich, ażeby zgromadzić wszystko to, co na wystawie podobnej zgromadzone być powinno.

Leśno-łowiecka sekcya głównego komitetu Wystawy zabrała się z energią do dzieła. Na jednem z ostatnich posiedzeń przedłożył jej referent łowiecki p. Władysław Spausta, program tego, co Wystawa łowiecka zawierać powinna, i obecnie idzie o to, ażeby ten wspaniale rozwinięty program został równie wspaniale wykonanym.

Nie było u nas jeszcze Wystawy, któraby wyczerpująco i w sposób umiejętny cały obraz naszego łowiectwa była przedstawiła. Na Wystawie krajowej we Lwowie z r. 1877 widzieliśmy zaledwie poszczególne w różnych miejscach rozrzucone trofea łowieckie, na Wystawie krakowskiej, w dziesięć lat później, był ten dział znacznie bogatszy i piękniej rozwinięty, ale zawsze jeszcze niekompletny, na Wystawie rolniczo-leśnej w Wiedniu r. 1890, zwracał powszechną uwagę polski dział łowiecki bogactwem i wspaniałością swych okazów, ale i tam była tylko Wystawa fragmentaryczna.

Dziś po raz pierwszy powzięto zamiar doprowadzenia do skutku kompletnej Wystawy łowieckiej i dlatego trzeba będzie prawdziwie polskiego zapału i ofiarności, ażeby ją wytworzyć.

Nie łudźmy sami siebie, owszem, powiedzmy sobie otwarcie, że na wszystkich poprzednich wystawach łowieckich nie było wcale powszechnego udziału myśliwych, takiego, jakiego słusznie spodziewaćby się można w społeczeństwie, gdzie prawie każdy większy właściciel ziemski jest zapalonym myśliwym.

W roku 1890 daremnie gal. Tow. łowieckie odzywało się do całego ogółu myśliwych, aby nadsyłało okazy na Wystawę polskiej grupy łowieckiej we Wiedniu. Każdy mówił sobie: „Zrobi to za nas hr. Włodzimierz Dzieduszycki“ i zasypiał spokojny, że Wystawa łowieckiego działu polskiego się uda.

W istocie patryotyczne poczucie obowiązku i miłość dla przyrody, tętniące tak żywo w duszy hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, nie dozwoliły na to, aby się Wystawa łowiecka przed oczami Niemców miała nie powieść; pospieszyli mu w pomoc pięknymi okazami swemi, książę Adam Sapieha, hrabiowie Potoccy, hr. Ludwik Wodzicki i inni — i Niemcy stawali pełni podziwu przy czaszkach i szablach naszych dzików, przy „sztrece“ naszych wilków, lisów i niedźwiedzi.

Hr. Dzieduszycki miał wówczas fundusze i ambicyę za cały kraj — i rzecz wypadła znakomicie.

Dziś jednakże całkiem inne przed nami staje zadanie. Hr. Włodzimierz Dzieduszycki nie może ogałacać swego wspaniałego Muzeum, boć i ono na rok Wystawy musi w całej swej okazałości być przedmiotem zwiedzania dla tych, co do Lwowa na Wystawę przyjadą — dziś zatem munificencyę jednego lub kilku możniejszych panów musi wziąć na swe barki cała nasza drużyna łowiecka i pospieszyć z czem kto może, z bronią, wieńcami, ubitym zwierzem, myłkusami, statystycznemi wykazami, obrazami i gobelinami starymi o motywach łowieckich — jednem słowem ze wszystkiem, na co tylko stać kogo, aby się Wystawa łowiecka udała.

Nareszcie pomyślmy i o tem, że w ostatnich czasach, dzięki współdziałaniu różnych czynników, wstąpiło u nas łowiectwo na znacznie wyższe, racyonalniejsze tory i poczyna istotnie ważyć na szali gospodarstwa narodowego. Niechże więc nietylko szatę swej wspaniałej przeszłości i swych wspaniałych okazów zwierza, lecz także swą wyższą kulturą przed oczyma swoich i obcych się popisze. Niechże Wystawa najbliższa powie, co uczyniono i co się czyni dla ochrony zwierza, jak się wpływa na lepszą jego rozmnożę, jak się go żywi po lasach w ciężkie zimy śnieżne, jak mu się szanuje ostoje, jak mu się buduje remizy, tam, gdzie chciwa siekiera naturalne pałace zwierza łownego wyrąbała. Przedstawmy też nasze konie do łowów i nasze pieski niezawodne — wypieśćmy całą tę Wystawę jak prawdziwe dziecko ukochane — a z pewnością zdoła się na niej wiele napatrzyć i wiele nauczyć tak swój, jak i obcy.

Pierwszy to odzew, który posyłamy naszej braci w św. Hubercie, aby o Wystawie pamiętała i już dziś do niej robić poczęła przygotowania. Jeszcze nie raz odezwiemy się do niej w tym przedmiocie, a obecnie oddajemy pióro znakomitemu referentowi sprawy tej w Sekcyi leśno-łowieckiej zamieszczamy niniejszem jego

Program

działu łowieckiego na powszechnej Wystawie krajowej we Lwowie r. 1894.

1. Dział historyczny obejmować ma wszystko, co ma styczność z łowiectwem przeszłości, a więc:

1) Okazy narzędzi i innych przyrządów kopalnych, jeżeli mają tylko domniemalną łączność z łowiectwem przedhistorycznem. Niemniej należą tu resztki kopalne przedhistorycznej fauny krajowej.

Zwierzęta do przeszłości łowieckiej należące, o ile takowe w wypchanych egzemplarzach lub w rudymentach pozyskać się dadzą, są: bóbr, łoś, tur, sobol.

2) Broń łowiecka: dziryt, opust, rohatyna, oszczep, kordelas, łuk, kusza, arkebuz, bagnetówka, berdebuch, borówka, damascenka, cyganka, fugówka, grzbietówka, guldynka, gwintówka, jańczarka, falkonet (jastrząb), muszkiet, przekrętka (dubeltówka), pułhak, puszka, wiatrówka i t. d., niemniej należą tu pojedyńcze części broni, groty, strzały, pociski, zamki, lufy, dalej przybory rysztunkowe, sajdaki, prochownice, torby na ołów, pasy, manierki, przyrządy do nabijania broni i amunicya.

3) Przybory dla psów myśliwskich: obroże do rozmaitych łowów używane, kagańce, kneble, smycze wywiurowe, sfory, drążki (na kundle), otoki, pancerze, widelce (dla legawych).

4) Rzędy na konie myśliwskie.

5) Trąby i sygnały: borówki, kniejówki, chróstówki, legawki, rożki, trąby do halali. Przedstawienie achów rogowych, wygrywanych przy rozmaitych okolicznościach w łowach kniejowych za pomocą nót, potrębywanie, ztrębywanie, trąbienie na trupa, fanfary przy rozkładzie.

6) Odzieże myśliwych.

7) Sokolnictwo; Okazy mniej znanych ptaków do tego używanych, w stanie wypchanym a mianowicie: Sokół raróg *(Falco lanarius)*, sokół wędrowny *(Falco peregrinus)*, białozór (*Falco gyrofalco*), berła, kaptury, rękawice, ubiory, dłużce (rzemienie). dzwonki, pęca, przedstawienia graficzne sokołów, według czasu tychże złapania i nazw, mianowicie, gentil (mudrahel), pelerin (przelotnik), antenaire (starczak), hagart (dzikowiec), sieć dziwocza (na sokoły). — Wypchane egzemplarze ptaków, na które wyprawiano łowy z sokołem, np. czapla purpurowa (*Ardea purpurea*), łabędź itp.

8) Siecie, objętki (na wielkie knieje), samołówki, straszaki, fladry, tu należą: cewki, siecie trokówki, wilcze słupy, grzebienie (na wilki), pastki, sypełki, wniki (siatki na ptaki), bruzdy (sidła na skowronki), brożki, siecie na obręczach, deski (na kuropatwy), drygobice (sieć na ptaki), dzwony (sieć na kuropatwy), funciki na wrony, (lejki papierzane z kawałkiem mięsa lepem pociągane), jastrzębiec (na gołębiarzy), lepowe rózgi, siecie lepowe, nagonne, nakrywalne, niewody, pomeki, rozjazdy itp., przybory o ile takowe otrzymać się, zrekonstruować, lub w wizerunkach przedstawićby się dały. Cień (bałwan na podobieństwo chłopa, w łowach z oszczepem na niedźwiedzia używany), ekram, czyli zasłona myśliwego z podobizną zwierzęcia do podchodzenia płochego ptactwa, strachowisko (kupa gałęzi i kawałki papieru prochem zwalanego na ubitym zwierzu, którego na razie zabrać nie można, dla odstraszenia drapieżników), kagańce, dla zwierząt żywo złowionych, kneble, obcęgi do wydobywania zwierząt z nor, świdry do wykręcania dziur na słupki sieciowe w ziemi zamarzniętej.

9) Zaprowiantowanie myśliwych, namioty myśliwskie; domki i pałacyki myśliwskie w rycinach.

10) Trofea myśliwstwa historycznego.

11) Sztuka plastyczna i reprodukcya graficzna. przedstawienie scen i zwyczajów łowieckich, przedmioty służące do dekoracyi mieszkań myśliwskich, meble, obrazy, dywany i t. p.

12) Literatura fachowa łowiectwa historycznego do roku 1850.

II. Łowiectwo nowoczesne.

1) Literatura łowiecka i dziennikarstwo od roku 1850.

2) Rachunkowość łowiecka, listy strzałowe, skorowidze ubitej zwierzyny, statystyka, plany urządzeń łowieckich. Ruch towarzystw myśliwskich.

III. Historya naturalna zwierza.

1) Wszystkie zwierzęta łowne, pożyteczne i szkodliwe, w egzemplarzach wypchanych, ustawione wśród skromnego krajobrazu, reprezentującego o ile możności przyrodzone siedliska, z uwzględnieniem odmian miejscowych, jako też odmian ściśle myśliwskich. Zniesienia ptaków. Tu pomieścić należy egzemplarze wyjątkowej barwy lub budowy n. p. srokate sarny, kozły bez parostków, sarny z parostkami, części pojedyncze zwierząt, tłumaczące jakiekolwiek objawy fizyologiczne lub zdarzenia z praktyki myśliwskiej n. p. nienormalność w odnożach połączona z nienormalnością w parostkach, różnice grubości skóry na rozmaitych częściach ciała u dzika, opierzenie wiosenne i jesienne ptactwa szczególnie wodnego. Resztki pokarmów znalezionych w jamach lisich i borsuczych.

2) Zbiór czaszek zwierząt rochmannych, ubitych w rozmaitych porach roku, w celu wykazania procesu wytworczego parostków, wieńców i rosochów. Jako *pendant* do tego demonstracya peryodycznego rozwoju płodu u sarn na preparatach anatomicznych (w ostatecznym razie w rycinach). Zestawienie czaszek z rogami dla demonstracyi rozwoju form parostkowych, połączonego ze zmianą uzębienia. Zbiór czaszek dzika od warchlaka począwszy aż do wieku wyrównania się zębów.

3) Okazy patologiczne najzwyklejszych epizoocyj zwierza, niemniej chorób stosunkami miejscowemi wywołanych (kule drzewnika), zaraza węglikowa, motylica, zaraza pyskowo-racicowa, przypadłości chorobliwe wskutek pasożytnych owadów, okazy tychże, chorobliwe wytwory, hypertrofie, jakoteż zaniki wskutek nieszczęśliwych strzałów i innych obrażeń. Zestawienia parostków, rosoch, wieńców i szufli w formach myłkusowych, według domniemalnych przyczyn fizyologicznych lub patologicznych ułożone.

4) Plastyczne reprodukcye tropów zwierza i śladów żerowania ptactwa wodnego w gipsie lub w glinie. Kule wymiotowe ptactwa drapieżnego, ejekcye ptactwa wodnego. Zestawienie odchodów zwierza i w ogóle wszelkie inne wskazówki, służące do zoryentowania się i skonstatowania pobytu zwierza w braku innych (jak np. otarcia gałązek, resztki scypułu i krwi, otarcia kory i żywicotoki ze śladami szabel i szczeciny dzika), wypluwki dzika przy żerowaniu polnem. W ogrodzie: naśladowane z natury legowiska zwierza np. gawra niedźwiedzia, barłogi dzików, letnie i zimowe (w mrowiskach), kotliny zajęcze, legowiska sarn, siadła ptaków, niemniej okazy uszkodzeń wegetacyi leśnej przez zwierzostany, korowania jeleni i danieli, ogryzania i oczymchania przez sarny, zające i króliki z uwydatnieniem charakterystycznych różnic uszkodzeń w rozmaitych gatunkach drzew przez te zwierzęta.

IV. Chodowla i ochrona zwierzostanów.

1) Środki do podniesienia i ulepszenia naturalnych siedlisk zwierza. Zbiór nasion drzew, krzewów i ziół, których uprawa w lesie, lub na polu jest wskazaną dla zwierza. W ogrodzie o ile możności okazy naturalne tychże, w pawilonie zielnik.

2) Karmy sztuczne dodatkowe (cerealia i pasze) pasza owcza, kiszonki, (ensilage) sztuczne poidła, urządzenie lizanek solnych z domieszką taniny i fosforanu wapna, środki woniejące i hygieniczne. Przyrządy rozmaite do zadawania karmy, jasła, trzyzuby, pług śnieżny do tworzenia uliczek w zawalnych zimach.

3) Wystawa nasion roślin służących do remiz, plany najkorzystniejszego urządzenia remiz dla rozmaitych celów.

4) Demonstracye ze sztucznej chodowli kuropatw i zajęcy.

5) Środki tępienia drapieżników, przyrządy ku temu, łapki, kosze, samotrzaski, doły i t. p. w ogrodzie, budka z puhaczem żywym w pawilonie, puhacz z ruchem mechanicznym, żelaza karkowe i talerzowe z demonstracyą praktycznego użytku.

*

6) Ubrania, odznaki i uzbrojenia straży myśliwskiej.

7) Środki łowiectwa kłusowniczego z rozmaitych stron kraju. Wystawa broni, samołapek i sideł wyłącznie przez kłusowników używanych.

8) Trybunki obserwacyjne.

V. Aklimatyzacya zwierząt. Wystawa egzemplarzy wypchanych zwierząt. Daniel, jeleń wirginijski, króliki dzikie i leporydy, indyki amerykańskie, bażanty, kury Laugshan, używane w sztucznej chodowli bażantów do wysiadywania jaj, przepiórki amerykańskie (*Ortyx virginianus*) wprowadzone już gdzie niegdzie w Europie, a obiecujące bardzo wiele, według dotychczasowych prób aklimatyzacyjnych, osobliwie dla knieci ubogich w ptactwo, gdyż gatunek ten ma i w takich miejscach dobrze prosperować. Rozmaite demonstracye z chodowli zwierząt aklimatyzowanych.

VI. Wykonanie łowów.

1) Siecie, straszaki, fladry, huczki, sygnały, rogi, wabiki, szkła (binokle) do łowów podchodnych, wózki i sanie do rozmaitych celów łowieckich.

2) Bronie używane po dziś dzień przez różne klasy społeczeństwa, przybory myśliwskie, torby, pasy ładunkowe do łowów górskich. Demonstracye strzałów w jednych zresztą warunkach różnemi rodzajami i ilością amunicyi, wykazujące siłę perkusyjną i objętość strzału. Wystawa amunicyi myśliwskiej. Wystawa broni firm handlowych.

3) Odzież i obuwie myśliwskie w rozmaitych porach roku i przy rozmaitych łowach.

4) Czółna i przybory do polowań wodnych.

5) Wystawa psów łowieckich (czasowa) w klatkach, na wolnem powietrzu, połączona z praktycznem użyciem i konkursowem przedstawieniem tresury na jamach lisich i borsuczych, skopiowanych w ogrodzie poza obrębem wystawy, jak n. p. próby z farbowcem, z jamnikami i próby tresury wyżłów. Warunki ku temu ma ułożyć komisya sędziów, pod której okiem próby najlepsze uwieńczoneby zostały nagrodami myśliwskiemi. Byłoby do życzenia, aby Towarzystwo łowieckie własnym kosztem sprowadziło kilka egzemplarzy wybitnych a praktycznych ras z psiarni renomowanych i takowe przeznaczyło albo do rozlosowania pomiędzy członków Towarzystwa, albo przeznaczyło je jako nagrodę zasług położonych, na polu łowiectwa krajowego osobom z grona Towarzystwa. Wystawa psów powinna obejmować następujące rasy: *a*) Charty, *b*) Buldogi, *c*) Jamniki czyli Tekle albo Daksy, *d*) Wydrowce, *e*) Wyżły i Legawce w odmianach i rasach, *f*) Farbowce, *g*) Lisiarzy, *h*) Beagle czyli Bigle, *i*) Gończe. W szczególności pożądanemi byłyby u nas mało znane i używane okazy chodowanych w kraju wyżłów dereszowatych, prostym i suchym włosem okrytych (*Schtichelhaariger Vorstehhund*), jako też tak zwanych grifonów po niemiecku *Polnischer Wasserhund* po francusku *Griffon d'arcel à poil* które według opinii znawców na specyalnych wystawach ostatnich czasów, uznane zostały jako odmiany, dające się użyć w wszechstronnych celach, bo do łowów w polu, w lesie, na wodzie na zwierza i ptaka (*Korthals* znany chodowca, Boulet i Marquis de Cherville w czasopiśmie *Acclimatation* Nr. 7. 1885). W pawilonie ryciny i fotografie, a mianowicie zestawienie ras i odmian uszlachetnionych psów łowieckich i wystawa psów, będących w prywatnem posiadaniu, w celu wykazania materyału rozpłodowego, jaki się w kraju znachodzi. Wystawców należy uprosić o podanie dokładnych wskazówek co do pochodzenia rasy i użyteczności. Najstosowniejsze nawary dla psów.

Okazy łasicy (*Frettchen, Mustella furo*) w egzemplarzach kakerlakowatych i żółtych z uwidocznieniem łowów króliczych z tem zwierzęciem, kagańce, dzwonki, sposoby przenoszenia łasicy i t. p.

Umieszczenie żywych zwierząt łowieckich na wystawie uważam ze względu, iż program obejmuje całość wypchanej fauny łowieckiej, za zbyteczne i bezcelowe, a nawet do pewnego stopnia szkodliwe, gdyż koszt potrzebny na taką wystawę, któraby w najlepszym razie zupełną być nie mogła, karmienie zwierząt i obsługa i wzrastające stąd ciągłe koszta, powinny być z lepszym skutkiem obrócone w kierunku instrukcyjnego i naukowego poziomu wystawy. Zresztą menażerya taka ściągałaby tylko bezustannie tłumy publiczności i nie dozwalałaby zwrócić spokojnej uwagi ku innym ważniejszym przedmiotom niniejszego programu.

VII. Użytkowanie zwierzyny.

1) Okazy zwierzyny przygotowanej do przesyłki, w rozmaitych porach roku.

2) Okazy sposobu obielania, postępowanie ze skórami świeżemi; wystawa skór w stanie świeżym i wyprawionym, skór letnich i zimowych, z włosem i bez włosa, konserwowanie skór.

3) Wyroby użytkowe z rogów, zębów, skór i kości zwierząt łownych.

VIII. Trofea myśliwskie.

1) Parostki, rosochy, wieńce, szulle.

2) Wypchane łby zwierząt drapieżnych i dzików, szczęki z uzębieniem zwierząt drapieżnych.

3) Wypchane zwierzęta lub grupy tychże, służące dla celów ornamentalnych, o ile takowe nie znajdą słusznego pomieszczenia w dziale III.

4) Skóry wyłącznie jako trofea lub ornamenta mieszkań przyrządzone.

ZNALAZŁ SWÓJ SWEGO.

Przed laty zmieniłem miejsce mego pobytu. Wędrówka ta spotykała mnie nie poraz pierwszy, ani też ostatni, a mimo pewności, że pod względem materyalnym lepszą zapewniała mi przyszłość, nie bez przykrości porzucałem miejscowość, gdzie lat kilka przepędziłem, gdzie przyszło zostawić dobrych towarzyszy, z którymi się zżyłem. W ostatniej chwili byłbym zrezygnował z błyszczącej perspektywy, byłbym nawet poniósł niejaką ofiarę, byle pozostać nadal w miejscu —lecz było już zapóźno.

Porzuciłem tedy okolice lesiste i gonię pod otwarte niebo Podola, szukać nowych znajomych, przyswajać sobie nowe zwyczaje i obyczaje.

Usadowiwszy się w mej sadybie, wybrałem się wreszcie złożyć mą powinną rewerencyę księdzu Kanonikowi, człowiekowi zażywającemu ogólnego poważania i powszechnie kochanemu.

U progu tej pierwszej mojej wizyty, przywitała mnie liczna zgraja piesków różnej maści, ale wszystko na jedną modłę. Jakieś mięszańce pinczów, nie wielkie, z charakterystycznie pozadzieranemi wargami, a z powodu tego zawsze świecącemi, odsłonionemi zębami. Zgraja ta z obcesowością i hałasem wpadła na mnie. W obawie o moje czarne pantalony, stanąłem łagodząc zjadliwą rzeszę, i w tej chwili znalazłem się okolony ze wszystkich stron. Wreszcie stara suka z obwisłemi siutkami, obwąchawszy mnie, kiwnęła krótkim ogonkiem, i najpierw mnie odstąpiła, a za nią cała zębata rzesza. Postąpiłem kilka kroków i wszedłem do pomieszkania.

Przedstawiwszy się, zająłem wskazane krzesło, i rozmawiając, od czasu do czasu rzucałem wzrokiem po komnacie. Najpierw wpadły mi w oko dwie rusznice na biurku, oparte o kant ściany, następnie dwie duże klatki, a w nich w trójnasób liczniejsza zgraja niż w sieniach, złożona z białych, żółtych, szarych i srokatych kanarków. Tuż znowu stolik z nagromadzonemi zbiorami geologicznemi z okolicy, naprzeciw duża szafa zapełniona książkami, na tej szafie zaś niewielka klatka, a w niej wirtuoz skowronek. Po podłodze biegały dwa pośmieciuchy, opukując co chwila podeszwy u butów księdza Kanonika.

Zapominając o sztywnych formach pierwszej mej bytności, opamiętałem się dopiero po kilkogodzinnej, najmilszej pogadance i pożegnałem ks. Kanonika wynosząc najprzyjemniejsze wrażenia z tej znajomości.

I odtąd dzień za dniem wzmagała się we mnie ochota odwiedzin i pogadanek z księdzem Kanonikiem, w którym, oprócz zacności i ducha prawdziwie obywatelskiego, poznałem zamiłowanego myśliwego, lubownika zwierząt, ptaków i kwiatów. Kto posiada te cnoty, musi być, zdaniem mojem, społeczeństwu użyteczny, a więc i kochany; i ja zatem od pierwszej chwili poznania przylgnąłem do ks. Kanonika.

Zbliżała się jesień. Obu nas myśliwych ciągnęła do siebie magnetycznie fuzyjka, ale na co tu polować? Czy po szerokich łanach Podola szukać przepiórek i chruścieli? To nie dla nas, ten sport zostawiamy młodszym myśliwym. Układamy więc plany polowania na większą zwierzynę, o którą się ta właśnie nikt nie kusi, bo to nie łatwa do wzięcia przepiórka lub chruściel. Postanowiliśmy polować na dropie, na tego króla stepów i łanów podolskich. Jakoż ksiądz Kanonik postarał się o pozwolenie w szerokiem kole sąsiedztwa, i w drugiej połowie sierpnia wyruszyliśmy po raz pierwszy na dropie.

W tym dniu zjechaliśmy kilkumilową przestrzeń, na której obliczyliśmy w stadkach od 5 do 30 sztuk, poważną liczbę około 80 dropi, a nie obeszło się i bez tego, żeśmy podjeżdzali i podchodzili niejedno stadko. Dropie przesiadywały na otwartych, szerokich polach odłogiem leżących, i każdym razem na kilkaset kroków wzlatywały. Dzień ten dostarczył nam więc tylko pewności, iż dropi jest dużo, że bardzo ostrożne, i że trzeba użyć forteli, ażeby przyjść do strzału.

„Sztuką wilki tłuką". Nie zniechęcając się, uradziliśmy, w najkrótszym czasie pojechać znowu, i każde napotkane stadko, nie marząc o strzelaniu, spędzać, by w ten sposób obznajomić się z kierunkiem, którędy spłoszone dropie najchętniej lecą, a wyzyskać to w razie powtórnego przydybania. Jakoż tego dnia spłoszyliśmy kilka stadek dropi, a zrekognoskowawszy miejscowość, oznaczyliśmy stanowiska na przyszły dzień polowania z planem, że ukryjemy się bądź za zboże ułożone w półkopki, bądź w kukurudzę, a chłopaka z wózkiem poszlemy, by na nas dropie napędzał.

Faktycznie plan ten okazał się niezły i wedle niego operowaliśmy dłuższy czas. Niemal każdym razem, jeśli tylko chłopak zajechał dobrze, od strony mu wskazanej, leciały dropie w kierunku do nas, choć nie zawsze na strzał. Dużo razy przyszliśmy do strzału, ale niestety bez rezultatu. Nie dlatego jednak, by któren z nas nie umiał rusznicy prosto nastawić, a zwłaszcza do dropia, którego lot jest tak ciężki i powolny, że nie wiem czy można zgórować, zdołować, albo przed ptaka, lub po za nim strzelić; owszem, upewnić mogę, że każdy strzał nasz był celny. Strzelaliśmy z rusznic dobrych, śrutem Nr. p. p. albo o. o., wprawdzie zawsze dalej niż na 40 kroków, ale nieraz policzyć można było uderzenia śrutów.

Drop strzelony, do którego zawsze i strzał z drugiej lufy padał, odłączał się od stadka i leciał w inną stronę, ale daremnie śledziliśmy go wzrokiem, przepadał w dalekim horyzoncie. Zdarzało się także, iż zapadał na kilkaset albo kilka tysięcy kroków; wówczas dojeżdżaliśmy go co prędzej, jednak raz tylko udało mi się zjechać postrzelonego dropia tak iż można było jeszcze dwa razy do niego strzelić, ale i wówczas nie został na miejscu. Później dowiedzieliśmy się, iż drop ten, lecąc przez niedaleką wieś, padł między chaty i tam go chłopi nieżywego zabrali.

Po całodziennych polowaniach uciążliwych, robiąc nieraz pieszo kilka mil drogi, wracaliśmy z próżnemi rękami — ani daj Boże przynieść dropia do domu, choć każdy, do któregośmy strzelali, był trafiony. Są to dowody wielkiej wytrzymałości dropia na uderzenie strzału. Poniżej przytoczę więcej faktów, udowadniających aż nadto to twierdzenie.

Po wielu takich bezskutecznych wycieczkach, niezrażeni niepowodzeniem, wracaliśmy do domu z tem silniejszem postanowieniem, aby co najmniej jednego dropia ubić.

Niezaprzeczenie polowanie takie mogło być pomyślniejszym uwieńczone skutkiem, gdybyśmy byli polowali w towarzystwie, okalając dropie w sposób „kociołkowy". Przy takiem polowaniu można przyjść do strzału na bliską odległość, a w danym razie, gdy śruty gęsto dropia obsypią, trafiają go w głowę, szyję, i mogą położyć na miejscu lub przenajmniej zbarczyć.

Stanowczo twierdzić mogę, że jeżeli się komu udało dropia śrutem zabić, zawdzięczyć to może jedynie temu szczęśliwemu trafowi, że drop trafiony był w jedną z powyżej przytoczonych słabizn.

Silne opierzenie dropia stanowi pierwszą zaporę, osłabiającą pocisk śrutu, następną grube mięśnie, chroniące komorę dropia. Trafienie dropia w głowę, szyję lub lot, przypisać należy tylko szczęśliwemu zrządzeniu, dlatego, mówiąc o prawidłowym strzale, może się tylko rozumieć strzał w komorę, i ten ze śrutu nie bywa dla dropia niebezpiecznym. Strzał w „miękusz", t. j. pomiędzy pierś a uda, nie razi go nigdy śmiertelnie i tak samo jak u dzika, wilka lub u sarny w danym razie, dopiero dłuższa słabość śmierć sprowadza.

Ktoby, licząc na to, że raz dropia śrutem ubić mu się udało, tym nieużytecznym w tej mierze materyałem chciał dalej na dropie polować, niech przynajmniej używa śrutu grubego

nr. p. p. albo o. o. i strzela tylko na bliską odległość; drobniejszego śrutu nawet na taką odległość używać się nie powinno, pomimo niezaprzeczonej pewności, że śrut cieńszy gęściej obsypuje. Zabić można nim sarnę, lisa — ale dropia nie zabije.

— Gdyby to zebrać można większe towarzystwo myśliwych! — mawialiśmy nieraz z księdzem Kanonikiem. — Lecz niestety, o tem można było tylko marzyć, bo chociaż tu tak jak w każdej innej okolicy, nie brakło adeptów św. Huberta, to przecież każdy z nich wolał polować na przepiórki i powracać z pełną torbą do domu, niż mamić się dropiem, owocem więcej niż zakazanym, bo niemożliwym do wzięcia.

Po wielu trudach i bezowocnych mozołach, przekonani aż nadto, że chcąc ubić dropia śrutem, potrzeba mieć więcej szczęścia niż pewności oka i ręki — zwłaszcza że po każdem polowaniu dropie były mądrzejsze — postanowiliśmy zamienić śrut na kule.

Ks. Kanonik wziął dubeltówkę o gładkich lufach, która zdumiewająco celnie kulami strzelała, ja zaś uzbroiłem się w sztuciec systemu „Werndla". Po kilku próbnych strzałach do tarczy, wybraliśmy się już z kulami na dropie.

Podówczas sztućce systemu „Werndla", były bardzo zachwalane i przyznać muszę, że strzelają dobrze; by jednak z sztućca tego systemu mieć pewny strzał, potrzeba najpierw niemal dokładnie ocenić odległość i odpowiednio podnieść wizyr, a następnie nie długo używać go. Z przekonania twierdzę, że sztućce tego systemu po dwóch do trzech latach, przy niebardzo częstem używaniu, mimo jak najczystrzego utrzymywania, stają się nieużytecznemi. Najprawdopodobniej miękkość materyału, z jakiego lufy w tych sztućcach wyrabiano, powodowała zużyciu gwintów w krótkim czasie do tego stopnia, że kula wylatywała bez najmniejszego tarcia.

Sztuciec, z którym na dropie się wybierałem, strzelał znakomicie na odległość 200 kroków. Na kilka strzałów do tarczy, wielkości daszka od czapki, prawie każda kula siedziała. Na odległość 300 do 400 kroków strzelał także znakomicie, a jednak po dwóch latach musiałem go zarzucić, gdyż zużył się i strzelał bardzo źle.

Zaopatrzeni w kule wybraliśmy się tedy na dropie, a rezultatem polowania dnia tego był 28 funtów wiedeńskich ważący drop, któregośmy do domu przywieźli. Zachęceni tym pomyślnym rezultatem, niemal każdego tygodnia wyjeżdżaliśmy na polowanie, i odtąd zaczęło się powodzenie. Jakoż polowanie to uprawialiśmy z zamiłowaniem przez trzy lata, ale już nigdy śrutem, tylko kulami, doprowadzając do znacznych rezultatów, bo jednego dnia ubiliśmy aż trzy dropie, rzadko 2, często jednego, a najczęściej pomimo kul wracaliśmy bez niczego. Strzelając zawsze kulami, nie braliśmy mimo to każdego trafionego dropia i śmiało rzec mogę, że co najmniej każdy piąty drop przepadał marnie, ulatując po strzale tak daleko, iż nie można go było odszukać, choć później znachodzili je ludzie, jak o tem mieliśmy sposobność nieraz się przekonać.

Przypominam sobie, że tylko trzy dropie, strzelone kulą, zostały na miejscu po strzale. Jeden z tych trafiony był w głowę, drugi nisko w szyję, a trzeciemu kula przeszyła na wylot wysoko komorę i ubezwładniła mu obydwa loty. Mimo śmiertelnego strzału, ostatni ten drop żył jeszcze dość długo i gdyby nie ubezwładnione loty, byłby poleciał jeszcze daleko. Inne strzelone dropie leciały zawsze na sporą odległość i lecąc, raptem w powietrzu koziołkowały i padały na ziemię bez życia, co świadczy o wytrzymałości dropia.

Na dowód, że drop zna swą siłę, takowej ufa, i bezbronnemu człowiekowi silny, a może nawet nieprzeparty opór stawić może, przytoczę fakt następujący:

Pewnego razu wypatrzyliśmy stadko dropi, 5 sztuk liczące, które z nami bardzo już obznajomione było, i nie tylko nas, ale nasz wózek i konie znało. Zoczywszy owe stadko, użyliśmy do podjazdu chłopa orzącego nieopodal pługiem, zaprzągniętym czterma końmi. Ja poszedłem za pługiem, a ksiądz Kanonik obrał sobie możliwie pewne stanowisko, ukrywszy się w kukurudzach.

Idąc przy koniu począłem się zbliżać do dropi, a manewrowałem przy tem tak, że to zbliżałem się to znów oddalałem od nich; żeby zaś mądrym dropiom nie dać się poznać, kazałem poganiaczowi prowadzącemu konie, jako też gospodarzowi prowadzącemu pług, krzyczeć na konie co chwila.

Na sporą odległość, widząc, że dropie się niepokoją i już bliżej zjechać się nie dadzą, oceniłem odległość, podniosłem wizyr na 300 kroków, zmierzyłem i posłałem kulę. Nadstawiwszy po strzale ucho, dosłyszałem echo uderzającej kuli, bo trzeba wiedzieć, że uderzenie kuli o dropia nawet na dalszą odległość słychać, i nadstawiwszy po strzale ucho najprędzą ma się pewność celnego lub chybionego strzału. Ruszyłem tedy za lecącemi dropiami, trafnego bowiem strzału byłem pewny. Dropie uleciały kilkaset kroków, wreszcie jeden zaczął znaczyć, odłączył się od stadka i o jakie 4.000 kroków albo i dalej, nie padł, tylko usiadł.

Ks. Kanonik zauważył także postrzelonego dropia, leciały bowiem w kierunku ku niemu, jednak na strzał za daleko.

Dobiegłem do ks. Kanonika, by usiąść na wózek i podążyć za dropiem, nim jednak zdołaliśmy ruszyć, widzimy następującą scenę:

Nieopodal siedzącego dropia orał chłop. Niezawodnie strzał musiał zwrócić jego uwagę, a widząc, że jeden drop odłączył się od stadka, domyślił się, że drop musi być postrzelony, stanął tedy z pługiem, przypatrywał się dropiowi czas dłuższy, namyślał się, aż wreszcie wziął w rękę kij używany przy oraniu, t. z. „jestek", i poszedł ku dropiowi. Byliśmy pewni, że spłoszy go, a tem samem uniemożliwi nam odszukanie dropia. Ale dzieliła nas od chłopa znaczna odległość i wszelkie nawoływania, by dał spokój dropiowi, nie mogły dojść jego uszu. Patrzymy tedy i czekamy.

Za zbliżeniem się chłopa na kilkadziesiąt kroków, drop zaczął od niego uchodzić pieszo, bardzo szybko, co widząc chłop, rozpuścił nogi i nuż doganiać dropia. Widzimy chłopa już może o jakie 30 kroków od dropia, który ciągle ucieka, ale nie wzlatuje. Nagle drop zmienia pozycyę, obraca się do chłopa, podnosi korpus z wyciągniętą szyją prawie pionowo w górę, wyciąga obydwa skrzydła, i w tej prawdziwie groźnej pozycyi, przygotowuje się do odparcia ataku. Widząc to chłop, stanął jak wryty w miejscu, o jakie 20 kroków od dropia, opuszczając rękę z patykiem w dół, jakby kapitulując przed dropiem. Kilkanaście sekund upłynęło w takiem mierzeniu się oczyma obu zapaśników. Wreszcie drop w tej samej pozycyi, jaką przybrał, począł nie iść, ale biegnąć do chłopa. W jednej chwili sytuacya się zmieniła; chłop ucieka, a drop goni za nim. Gonitwa ta trwała dość długo, co najmniej 30 do 40 kroków, a chłopisko tak szczerze uciekał, że z daleka wydało nam się, iż piętami uderza niżej pleców i odsadził się spory kawał od dropia. Ptak widząc, że w gonitwie nie zrówna chłopu, wzleciał w prostym do chłopa kierunku, co widząc chłop, stanął i patyk podniósł w górę,

w pozycyi obronnej, drop jednak minął go górą i zmieniając kierunek, leciał prosto ku nam. Uleciał już większą połowę drogi ku nam, wtem koziołkuje w powietrzu i jak szmata rozciągnięty pada na ziemię nieżywy. Wsiedliśmy na wózek, dojechali i podnieśli dropia-szermierza. Chłop stał ciągle w miejscu i przypatrywał się nam, a gdy podniosłem dropia w górę, pokazując mu go, jął gestykulować to rękami, to głową, to jestykiem, jakby nad jakiemi czarami, aż wreszcie wrócił pomału do pługa.

Uradowani, że nam się udało widzieć zapasy, jakich może nikt w życiu nie widział, nie wieczorem jak zwykle, ale już wcześnie z południa wróciliśmy do domu, wioząc w tym jednym dropiu zdobycz niepospolitą. Był to stary brodacz, ważący 28 funtów.

I oto dowód świadczący o trwałem życiu dropia, i będący przestrogą dla każdego myśliwego, by polując na tego majestatycznego ptaka używał tylko kul.

Ale strzelając kulami, trzeba przedsięwziąść wszelką ostrożność, by w kierunku strzału jak daleko okiem sięgnąć można, nie było ludzi albo też bydła. Kula stożkowa, jaką się zwykle z sztućców nowego systemu strzela, nie natrafiwszy na przedmiot opór jej stawiący, przelatuje bardzo daleką odległość, mimo zniżania się, z taką siłą, że na kilka tysięcy kroków, człowieka a nawet bydle nie tylko zranić ale i zabić może. Trafiło mi się raz, że ujechawszy po strzale, ćwierć mili, spotkałem polujących na przepiórki, którzy mi mówili, że słyszeli świst kuli w powietrzu i dopiero po chwili zaledwie dosłyszany huk strzału ich doszedł. I w istocie w tym kierunku strzeliłem do psa, który gonił zająca – pies padł na miejscu, a kula mimo to światami poszła. Pewnego dnia podchodziłem i podjeżdżałem kilka razy stadko dropi z czterech sztuk złożone. Były one tak ostrożne, że nie tylko podejść ani podjechać się niedały, ale nawet nie dały się napędzić w kierunku, w którym zwykle z miejsca tego ulatywały. Były to mądre dropie, ostrzelane. Siedząc, rekognoskowały odległość i manewry nasze, i stosowały się do tego w swych ruchach z mistrzowską przezornością. Po kilkurazowych nieudałych próbach, które nam niemal cały dzień zajęły, postanowiłem spróbować szczęścia. Podniosłem wizyr na 500 kroków i strzeliłem. Kula padła przed dropiami na liczonych 60 kroków, poszła dość głęboko ziemią prawie 6 metrów, i znowu wyrwawszy się z ziemi, trafiła — o dziwo! — dropia, i to tego samego, do którego mierzyłem, w samą głowę. Drugi taki strzał nigdy się zapewne nikomu nie uda. Dropie siedziały wówczas na oraninie suchej, u kurz, powstały z uderzenia kuli, dał nam możność dokładnego zbadania strzału.

Nietylko przy strzelaniu w kierunku poziomym i kulą stożkową potrzeba zachować wszelką ostrożność. Także i kula okrągła z gładkiej lufy, leci bardzo daleko, a rekoszetując, bardziej zmienia kierunek od kuli stożkowej, wystrzelona zaś w górę jeszcze przy spadaniu na ziemię ambarasu narobić może.

Oto co się nam przydarzyło.

Podjeżdżaliśmy stadko dropi, 7 sztuk liczące; ks. Kanonik obrał sobie stanowisko w kukurudzach, ja podjechałem dropie na odległość 300 kroków i strzeliłem. Zdawało mi się, że dobrze nastawiłem lufę, jednak nie prawda — spudłowałem. Dropie zleciały, ciągnąc w kierunku, w którym ks. Kanonik był ukryty. Czekam, kiedy mój towarzysz wygarnie. Wreszcie pada jeden strzał i drugi. Drop jeden zatrzymuje się w locie, opuszcza obie nogi, namaga skrzydłami prawie na miejscu, zmienia kierunek, i leci ku tej stronie, w którą padły strzały ks. Kanonika. Drop ten strzelony był na połeć. Śledzimy dropia, bo wnosząc z dobrego zaznaczenia strzału, mamy nadzieję, że tuj-tuj upadnie; drop jednak leci bardzo daleko, spuszcza się coraz niżej i ginie za pagóreczkiem. Doszedłem do ks. Kanonika i zdążamy za dropiem. Uszliśmy spory kawał, lecz niestety nigdzie nie widać dropia ani lecącego ani leżącego. Wreszcie w znacznej odległości widzimy coś białego na ziemi. Przez szkła przekonaliśmy się, że to kobieta w pozycyi nachylonej, zajęta kopaniem kartofli. Kobieta owa była cokolwiek na lewo od kierunku, w którym drop postrzelony uleciał. Zbliżywszy się o jakie 200 kroków do baby, wołam jak mogę najgłośniej:

— Kobieto! kobieto! Czy ne wydiłyśte drofa, ne łetiła tuda?

W odpowiedzi dochodzi nas głos:

— A to pan striłały?

— Ja, ja! — odpowiadam.

Na to ks. Kanonik uradowany mówi:

— Ma go niezawodnie.

— A ma — rzekę — widzi ks. Kanonik, leży koło niej.

Przyspieszamy kroku do baby, a ks. Kanonik mówi:

— Wybrałem największego, choć najdalej był na strzał, z drugiej lufy chybiłem, choć mi prawie stał w powietrzu, bo też lewka nie bije tak kulami jak prawka, nieraz mnie zawiodła.

Przyspieszamy kroku, a ks. Kanonik dobył tymczasem pulares i wyjął guldena, jako nagrodę dla baby. Zbliżamy się, ale w miarę zbliżania, drop leżący koło baby coś zaczyna zmieniać kształty, coraz to niepodobniejszy. Wreszcie ks. Kanonik odzywa się:

— Panie, taż to worek!

— A worek — mówię — ona go już do worka wpakowała.

— Wpakowała, wpakowała! — powtarza ks. K. i znowu nadzieja w nas wstąpiła.

Zbliżywszy się do baby na kilkanaście kroków, pytam:

— A desz drofa?

— Ta ja drofy ne wydiła, ałe pan mene postriłyły.

Prąd elektryczności ubezwładniającej przeszedł nam po członkach. Spoglądnęliśmy na siebie i zamilkli. Nareszcie odzyskawszy przytomność pytam:

— Ta jak postriłyły?

— Ta jak — odpowiada baba — kulą; ja maju kulu.

— Ta de?

— A wo! — rzeknie baba, wyciągając ku nam rękę z kulą.

Ks. Kanonik zdziwiony, wziąwszy kulę do ręki, mówi:

— Cóż to taki go? To moja kula.

— To wy tuju kulu najszły tu w barabolach — zagadnąłem babę.

— Ta de najszła! Wona mene postriłyła!

— Ta de postriłyła? — pytam zirytowany.

— O tu! — mówi baba kładąc rękę niżej plec, a widząc guldena w ręku ks. Kanonika dodaje: — Mene tak pecze i swyrbyt, szczo ne mohu wytrymaty.

— Ałe szczo howorysz babo! Kula postriłyła tebe, taj kulu w ruci trymajesz. Najszłaś w barabolach! pokaży, de tebe kula postriłyła.

— Baba spoglądnęła na wyzierającego z ręki guldena i mówi:

— Taże ja ne breszu, jakby ne postriłyła, tobym ne kazała.

— No to pokaży, de!

— Ta czomu? Ja mohu pokazaty.

— No, pokaży!

Baba nie namyślając się już długo podnosi ubranie i faktycznie widzimy czerwono-niebieski znak wielkości 20-centówki, spowodowany świeżem uderzeniem.

— Masz babo znak i masz tu guldena — rzekł ks. Kanonik — i odeszliśmy, rzucając jeszcze raz okiem zdziwienia na babę i worek z kartoflami.

Drop strzelony był w lot, a więc strzał skierowany w górę, kula jednak spadając na ziemię, ugodziła w babę w pozycyi nachylonej, bo zajętej kopaniem kartofli. Od miejsca strzału do baby szliśmy co najmniej pół godziny.

Gdyby nie fatalizm z babą, dropia tego bylibyśmy odszukali, gdyż jak później dowiedzieliśmy się, zabrał go chłop, wiozący snopy do domu. Piekł go i gotował w barszczu, a piórami przyozdobił kapelusze wszystkich parobków we wsi. Taki to los spotkał niejednego dropia, któregośmy zastrzelili, bo mówiono później:

— Ot, Jaśko Skorobohacziw schowaw drofu w opałku, a Maryna Kujbida najszła duże wełykoho w kukurudzach jak fasolu brała... (Dok. nast.)

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

W strefie arktycznej.

W lipcu 187... — tak pisze ks. Filip Koburski w jednej z swych relacyj myśliwskich — siadłem na okręt w Edynburgu, udając się do Islandyi. Zatrzymaliśmy się po drodze w Thorshaven na wyspach Faroer, gdyż potrzeba było postarać się o większy zapas węgla, co wymagało trochę czasu. Chcąc zużytkować czas ten, zarzuciłem strzelbę na ramię i puściłem się na grząski, bagnisty, pagórkowaty ląd. Dużo zwierzyny tu nie spotkałem, z wyjątkiem erdredonek, *(Somateria molissima)*, których jednakowoż nie wolno strzelać. Mimo tego udało mi się ubić tu trochę kulików, siewek i biegusów, które na okręcie z wielką radością przyjęto, bo choć chwilowo wprowadziły pożądaną zmianę w jednostajnym wikcie okrętowym. Wraz ze mną udał się na to polowanie także pewien młody Anglik, towarzysz podróży, porucznik okrętowy, i stary mój przyjaciel.

Szczęście każdemu z nas prawie jednakowo sprzyjało. Właśnie, gdy obładowani zdobyczą chcieliśmy już wracać na okręt, spostrzegłem na małem, wśród odłamów skał położonem jeziorku, mnóstwo wielkich dzikich kaczek. Podeszliśmy je cicho, i otoczyliśmy stawek ze wszystkich stron, lecz w chwili, gdy złożywszy się chciałem strzelić, usłyszałem groźne nawoływania i na brzegu jeziorka spostrzegłem jakiegoś człowieka. Dawał mi gwałtownemi ruchami do zrozumienia, że nie wolno strzelać. To bowiem, cośmy uważali za zwykłe dzikie kaczki, były erdredonki. I szczęście, że nikt nie wystrzelił, bo zamiast dalszej podróży, bylibyśmy musieli jakiś czas pod kluczem przesiedzieć, lub za ubite erdredonki słono zapłacić.

Człowiek ów, który nas przestrzegł, mieszkaniec wyspy, udobruchany tem, żeśmy go tak skwapliwie usłuchali i nie strzelali, zaprosił nas do swego domu, położonego obok starego, jeszcze z 11. wieku pozostałego kościoła, i uraczył nas mlekiem, t. j. tem, co miał najlepszego w domu. Utrzymywał on się z chodowli bydła i z rybołowstwa. Opowiadał nam między innemi, że na wyspie są króliki, myśmy jednakowoż ani jednego nie spotkali. A może być, żeśmy go dobrze nie zrozumieli, i że co innego, a nie króliki miał na myśli, bo mówił tylko po duńsku, a myśmy w rozmowie z nim używali mieszaniny z języków angielskiego, niemieckiego i duńskiego. Godzinę przed podniesieniem kotwicy byliśmy już na pokładzie, bardzo zadowoleni, że po długiej podróży morskiej znowośmy raz huk dubeltówki na lądzie usłyszeli.

Po dość burzliwej podróży i wreszcie po wylądowaniu na północnym brzegu Islandyi, dotarliśmy przy końcu lipca do stołecznego miasta Reykjavik, liczącego około 800 mieszkańców. Nie ma tam żadnego zajazdu, musieliśmy tedy przyjąć gościnność u mieszkańców, i wkrótce znaleźliśmy pomieszczenie u pewnej zacnej wdowy, mającej dwie wcale miłe i piękne córki, dla towarzystwa wesołych myśliwych aż nadto sympatyczne. Nie przyjechaliśmy jednak do pięknych Islandek w konkury; przeto następnego już dnia udaliśmy się w głąb kraju.

Opowiadano nam, że będziemy tam mogli polować na reny, łabędzie, białe lisy, pardwy, bekasy i wszelkiego rodzaju ptactwo drapieżne i wodne — jednakowoż zawiedliśmy się trochę w naszych różowych oczekiwaniach.

Renów nie wiele jest w Islandyi; trzeba się dużo naganiać, by choć jednego ubić. Łabędzi jest wprawdzie na północnych jeziorach wiele, lecz dla braku czasu nie mogliśmy aż tam ich szukać. Lisów polarnych spotyka się dużo, lecz tak są płoche i ostrożne, że ani jednego nie mogliśmy podejść; kupiliśmy tylko kilka skór z lisów, które zapewne w sidła schwytano. Futro tych lisów jest w zimie białe, w lecie zaś przechodzi w barwę brudno-popielatą.

Co się tyczy innych gatunków zwierząt łownych, to można tu spotkać najróżnorodniejsze okazy.

O niedźwiedziach białych i fokach nic nie wspominam, bo nie spodziewaliśmy się ich tu spotkać. Trafiają się jednak dość często na brzegach morskich; nie mieliśmy wszakże ochoty, na zwykłem czółnie rybackiem, przy zbyt wilgotnem i chłodnem powietrzu, godzinami na nie wyczekiwać. Zwykle uniesione na bryłach lodowych, przypływają one od bieguna ku północnym wybrzeżom.

Z wielkim trudem wyruszyła nasza mała karawana konno w pochód ku środkowi wyspy. Grunt tu wszędzie wulkaniczny i nigdzie prawie nie ma dróg, mimoto pędziliśmy ciągle wyciągniętym galopem. Nie do uwierzenia prawie, jak wytrwałemi są małe islandzkie konie. Robiliśmy dziennie w przecięciu po pięćdziesiąt mil angielskich, a jeszcze piątego dnia nie można było tej nużącej jazdy po koniach poznać.

Przebywszy piękne parowy Almanagja wśród ulewnego deszczu, brodząc wśród rzek i strumieni przeróżnych, przybyliśmy drugiego dnia do wielkiego Gajzeru, położonego na równinie, będącej wybornym terenem dla błotnych polowań.

Jak zwykle tak i teraz, rozsiodławszy konie, puściliśmy je wolno i udaliśmy się za małą opłatą na nocleg do drewnianego kościółka, ofiarowany nam przez miejscowego pastora. W innych mieszkaniach podziemnych, gdzie wszystko prawie pływa w tranie rybim, Europejczyk, przyzwyczajony choć trochę do czystości i porządku, nie jest w stanie wytrzymać.

Na wieczerzę dostaliśmy znakomitą śmietanę i pstrągi. Ryby bowiem nietylko dla ludzi ale i dla zwierząt głównem są tu pożywieniem. W zimie nawet i konie karmią suszonemi rybami. Dla tych, co z wędką godzinami lubią wysiadywać na brzegu, jest Islandya prawdziwem Eldoradem, gdyż wszystkie jej rzeki przepełnione są rybami.

Pod amboną, tuż obok ołtarza, ułożyłem się do snu, śniąc o renach i łabędziach, na które nazajutrz mieliśmy polować. Lecz było to tylko we śnie, bo jak już wyżej wspomniałem, nie spotkaliśmy się z nimi wcale. Wspaniałem za to było polowanie na kszyki, kuliki i siewki, które co kilka kroków zrywały się przed nami.

Po jednej stronie wznosiła się wyniosła Hekla z niebotycznemi lodowcami, po drugiej Gajzer, buchający ustawicznie w górę 20 stóp grubym, a przeszło 100 stóp wysokim strumieniem gorącej wody. W ukropie tym mogliśmy odrazu część naszej zdobyczy gotować. Na drugi dzień polowaliśmy w górach, które miejscami dosyć są wysokie. Wyszukiwaliśmy jednak miejsca mniej wyniosłe, nie wielkiemi pokryte brzózkami.

Karłowate brzózki, to jedyne drzewa, które tu napotkać można. Tylko w Reykjawik, przed domem duńskiego gubernatora, wznosi się jedna na 14 stóp wysoka jarzębina, która jest podziwem całej okolicy.

Polowanie dnia tego było również bardzo udałe. Nie mając jednak dobrego psa do polowania, straciliśmy wśród krzaków wiele postrzelonych kszyków. Na wyższych szczytach, na miejscach porosłych mchem i wrzosami lub lawą okrytych, spotykaliśmy wiele pardw (*Tetrao-Islandorum*), nie bardzo się różniących od naszych. Była to prawdziwa rozkosz, bo podczas gdy w Alpach rzadko kiedy można przyjść do strzału na pardwę, tutaj spotykaliśmy je tak gęsto, jak u nas kuropatwy. Nieprzyjemną stroną tego polowania były tylko głębokie rozpadliny, nierówny grunt lawy, jak również miliony drobnych, przy gorących źródłach wylęgłych muszek, które się do ust, nosa, oczu i uszu ustawicznie cisną.

Deszcz, przy temperaturze około 3⁰, lał cały dzień... Byliśmy przemoknięci do nitki, co się jednakowoż wśród ciągłego ruchu nie bardzo dotkliwie czuć dawało; nasz przewodnik wszakże, „Dörtr", mimo ustawicznego zaglądania do manierki z wódką i mimo ciągłego zażywania tabaki z różka, zrobionego z kłów morża, żadną miarą nie mógł się rozegrzać. Sposób ten zażywania tabaki z różka, bardzo jest wygodny na polowaniu lub przy łowieniu ryb, gdy się jedną rękę ma tylko wolną, bo zatyczkę różka wyciąga się zębami i cienkim końcem wkłada się rożek wprost do nosa. Europejski myśliwy mógłby sobie taką samą przyjemność urządzić przy pomocy kłów dzika.

Litując się nad przeziębniętym Islandczykiem, a mając jeszcze spory kawał drogi przed sobą, pożegnaliśmy „Rjupa" i „Hrossa gaukur", (jak się po islandzku pardwy i kszyki nazywają) i udaliśmy się w dalszą drogę, nie czekając wieczora. O ciemności wieczornej mówić tu nie można, gdyż w lecie słońce tak późno zachodzi a tak wcześnie wschodzi, że jeszcze i o północy wygodnie można polować. Na łeb na szyję pędziliśmy ciągle w galopie, i chociaż gdzieniegdzie koń się potknął, nie doznaliśmy żadnego szwanku.

Słońce już zaszło, a więc już bardzo późno było, gdyśmy dotarli do naszego kościółka w Thingvellir i ujrzeli przyjazne dla nas oblicze pastora Sera Simona. By się z nim módz porozumieć, musieliśmy się aż do łaciny uciekać, która na szczęście na tyle nam wystarczyła, żeśmy dostali mleka, pstrągów, i że gospodyni pastora nasze suknie trochę przesuszyła, pożyczywszy nam tymczasowo koców i swych spodnic. W pociesznych kostyumach zasiedliśmy tedy w ławkach kościelnych do wieczerzy.

Już następnego dnia znaleźliśmy się znowu w Reykjavik u znajomej wdowy, gdześmy się po żmudnych trudach rozkoszowali wyborną baraniną i z przyjemnością znowu raz w czysto pościelonych łóżkach się wyspali.

Najbliższą wyprawę podjęliśmy do wulkanu Krisuvik.

Na brzegu morskim widzieliśmy wiele rozmaitej zwierzyny łownej, lecz takiej, którą tam chodują — nie mogliśmy przeto do niej strzelać. Zwierzyna ta, ryby i smaczny, jadalny porost islandzki, są, zwłaszcza w zimie, głównym artykułem pożywienia mieszkańców tamtejszych. Oprócz erdredonek, było tam wiele m e w, m a s k o n u r ó w, (*Mormon fratercula*) i g a p i ó w (*Sula Bassana*), uwijających się wśród fal i skał nadbrzeżnych. Wielki północny n u r (*Colymbus glacialis*) zjawia się tu czasami, myśmy jednak ani jednego nie spotkali, tylko piękną skórę z nura dostałem w Reykjavik.

Mieliśmy zamiar polować także w pobliżu źródeł siarczanych i wulkanów błotnistych, nie można jednak było wśród gorącego, w rozmaite barwy tęczy mieniącego się błota chodzić. Na każdym kroku zapadało się aż po kolana, a prócz tego groziło niebezpieczeństwo śmierci w otchłani jakiegokolwiek krateru błotnego. Zaprzestaliśmy więc tego niebezpiecznego polowania, zwłaszcza, gdy jeden z naszych towarzyszy wraz z koniem zapadł się i dopiero z wielkim trudem z błota został wyciągnięty. Pozostawiliśmy tedy w spokoju pardwy, siedzące w rozpadlinach lawy i kraczące monotonnie, a sami zajęliśmy się naszym towarzyszem, który z trudem wyciągnięty z żółto-niebieskiego błota — prawie był do niepoznania. Trzeba było ubranie jego choć trochę koło ognia osuszyć, co wśród ciągle padającego deszczu nie łatwo się dało uskutecznić. O spaniu również mowy być nie mogło, gdyż huczą tam ustawiczne podziemne grzmoty, które zmieniają się od czasu do czasu w poważne trzęsienia ziemi. Bardzo byliśmy zadowoleni, gdyśmy wreszcie z brzaskiem dnia ten przedsionek Erebu opuścili. *Przekł. J. St.*

KORESPONDENCYE.

Skała nad Zbruczem 16 grudnia 1892.

(Ciąg kszyków. Szkoła pływania dla zajęcy).

Jest faktem, któremu nikt zaprzeczyć nie może, że człowiek zaglądnął przyrodzie dużo razy w karty i zbadał już przyczyny bardzo wielu zjawisk. Będąc niepohamowanie ciekawym, nie żałował trudu i poświęcał niejednokrotnie całe swoje życie na zbadanie tajemnicy zachowania najdrobniejszych nawet stworzeń, nie spoczywając dopóty, dopóki się nie dowiedział w jaki sposób stworzenia te żyją i rozmnażają się. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż pomimo całego ogromu wiedzy, pozostało człowiekowi jeszcze dużo do odgadnięcia.

Żałuję niewymownie, żę nie mogę pochlubić się rozwiązaniem choćby tylko jednej z wielu jeszcze nierozwiązanych zagadek przyrody. Za to pozwolę sobie postawić w formie zapytania parę takich zagadek w nadziei, iż może kto inny rozwiązać je potrafi. Oto są:

Jakie objawy w przyrodzie nakazują dzikim kaczkom budować gniazda w miejscach bardziej nad zwierciadłem wody wzniesionych, lub też położonych nieco dalej od wody w latach, w których mają nastąpić powodzie?

Jakie przyczyny zniewalają ptactwo przelotne do obierania szlaków do odlotu przez takie miejsca, gdzie nigdy, lub też tylko bardzo rzadko się pojawiało?

Ostatnie pytanie nasunęła mi korespondencya umieszczona w Łowcu Nr. 12 pod tytułem: „Na błotach i w kniei". Wielce szanowny autor wspomnianej korespondencyi, opisując tegoroczny ciąg dubeltów i kszyków, mniema, że wczesna i piękna wiosna była przyczyną wczesnego ciągu. Nie mam bynajmniej zamiaru zbijać to twierdzenie, gdyż ostatecznie wobec skrzydlatej hałastry gubimy się wszyscy w domysłach, ale chcę tylko zaznaczyć, że w tym względzie jestem odmiennego zdania i przypuszczam, iż tegoroczna posucha, wywoławszy najprawdopodobniej u ptaków obawę o żer, zniewoliła je do rozpoczęcia podróży znacznie wcześniej niż zwykle. Ale uznawszy to przypuszczenie za trafne, mamy zaraz do czynienia z pytaniem: Jakie okoliczności przestrzegły ptaki o grożącem im niebezpieczeństwie głodu na wypadek, gdyby ciąg opóźniły? Ponieważ na zapytanie to odpowiedzieć nie umiem, więc zastawiam odpowiedź Szanownym kolegom myśliwym, a sam przechodzę do opisania ciągu krzyków i dubeltów w okolicy Kolbuszowy.

Jak żyję, nie widziałem nigdy tyle kszyków porywających się naraz, ile widziałem ich ubiegłego lata w Cmolasie. eżeli którykolwiek z Szanownych panów myśliwych widział kiedy hurmę szpaków, do której strzela się nie celując, to będzie miał wyobrażenie o ilości kszyków, na które w pomienionej miejscowości natrafiłem. Nie przesadzę bynajmniej gdy powiem; że po sto sztuk zrywało się naraz i rozumie się, iż strzelałem do nich tak, jak do szpaków, przy czem jednak zrobiłem niemiłe spostrzeżenie, że kszyki a szpaki to nie jedno, bo strzelając niegdyś do szpaków, nie celując, ubijałem zawsze po kilka sztuk, a strzeliwszy do kszyków w ten sposób, nie ubiłem ani jednego.

Nie zadziwiło mnie to jednak, gdyż mam niezłomną wiarę w ten myśliwski dogmat, iż strzał w hurmę bywa zwykle bezskuteczny, skoro się na cel żadnej sztuki nie weźmie, ale zadziwiła mnie niezmiernie tak niezwykła ilość kszyków na błotach małych, gdzie innemi latami ledwie kilka sztuk wyszukać było można. Nawalny ten ciąg, który rozpoczął się dnia 24 lipca b. r. (w tym dniu byłem pierwszy raz na błotach) trwał stosunkowo bardzo krótko, gdyż z początkiem sierpnia kszyków prawie już nie było. W takim stosunku, jak ciąg kszyków, okazał się ciąg dubeltów również obfitym, gdyż na błotku, gdzie się zwykle trafiała ledwie jedna para dubeltów, znajdywałem ich w roku zawsze najmniej sześć.

Co się tam później działo — nie wiem, ponieważ los przerzucił mnie aż na wschodnie kresy, wprawdzie w grubszy koniec Galicyi, ale cóż mi z tego, kiedy pod względem polowania okazał się on dla mnie tak cienki i chudy jak symbol siedmiu lat głodu w Egipcie. Mówię to tylko o mojej osobie, gdyż knieje Ordynata hr. Gołuchowskiego, W. hr. Baworowskiego i księcia Sapiehy, roją się od zwierzyny. Mogę to twierdzić stanowczo, gdyż przejeżdżając w pobliżu tych lasów, czytałem wypisane na śniegu nuty: dzików, sarn, lisów i zajęcy,

Jako myśliwy z krwi i kości, muszę podnieść ze szczerem uznaniem, iż wyżej wzmiankowani panowie właściciele dóbr podnieśli znakomicie zwierzostan w całej tutejszej okolicy, gdyż to nie nowina, że i gniazdowy zwierz rozchodzi się do sąsiadów, gdzie czasowo a często i na zawsze pozostaje. Nie wierzę bowiem w sprawozdania straży leśnej, brzmiące np. tak: „W kniei obśledzono 170 sztuk zajęcy, z tego dwa wyszły do sąsiedniej kniei i jutro powrócą".

Kiedym się rozgadał o zającach to muszę łaskawym czytelnikom podać do wiadomości jeszcze jeden fakt ze zwyczajów „gawiędnika", o którym to zwyczaju z pewnością nie każdy myśliwy posiada wiadomość, gdyż i ja dopiero niedawno zasiągnąłem o tem języka.

Pisałem już w „Łowcu" Nr. 6 z tego roku, iż zając znaglony niebezpieczeństwem rzuca się do wody i przepływa dość szerokie rzeki; ale żeby szarak dla zdobycia żeru wchodził powoli do wody, przepływał rzekę codziennie i wracał wpław napowrót do legowiska, o tem zdaje mi się nie wszyscy wiedzą. Tymczasem zapewniam łaskawych czytelników, że to, co powyżej napisałem jest czystą prawdą i na dowód podpisuję się pełnem nazwiskiem.

Faktu tego nie oglądałem wprawdzie sam, ale mimo to twierdzę stanowczo, że tak było, albowiem opowiadały mi o nim osoby, które bezwątpienia miały ku temu powody, aby mnie „na kawał" nie brać i wierzyły w to, iż nietylko w myśliwstwie, ale i w innym kierunku na kawał wziąć się nie dam.

Dla lepszej pewności podaję miejscowość, w której zające założyły szkołę pływania. Są to Kudryńce dolne nad Zbruczem.

W miejscowości tej, położonej na terytoryum galicyjskiem po prawej stronie Zbrucza, wznoszą się dość strome skały pokryte krzakami, tworzącemi tak zwaną „ściankę". Jak wiadomo wszystkie takie ścianki, gdziekolwiek one są, bywają zwyczajnie najulubieńszem schroniskiem zajęcy, tembardziej, jeśli w pobliżu znajduje się odpowiedni żer.

W Kudryńcach dolnych nie było w tym roku nigdzie blisko ścianki żadnej oziminy. Zdawałoby się więc, że zające zamieszkujące ściankę musiały cierpieć, jeżeli nie głód, to przynajmniej niedostatek. Ale gdzież tam! Potrzeba jest matką wynalazku. Toż nie dziw, że i zające zdobyły się na założenie i otwarcie szkoły pływania. Co dzień bowiem wie

czorem, przez cały wrzesień i październik, przepływały przez Zbrucz do rzepaku, będącego po za rzeką na terytoryum Rosyi i wracały dopiero rano, w porze, kiedy zające dążą zwyczajnie do miejsca spoczynku. Wycieczek tych nie urządzały nigdy gremialnie, lecz zawsze pojedynczo. Każdy zając, przyszedłszy nad Zbrucz, chodził jakiś czas wzdłuż koryta rzeki tam i napowrót dopóty, dopóki nie upatrzył odpowiedniego miejsca do wejścia do wody, poczem wchodził już śmiało we wodę i przepływał rzekę, a dostawszy się na drugi brzeg, otrzepywał się na sposób psa, gdy z wody wychodzi i szedł następnie do rzepaku. Rano, gdy wracał do legowiska, przedsiębrał ponowną kąpiel i postępował przytem tak samo, jak przy poprzedniem przepływaniu Zbrucza. Wszystko to obserwowano przy księżycu i zaręczam, że tak było, jak opisałem. Ciekawy jestem bardzo i byłbym wielce obywiązany temu, ktoby mi powiedział, jakim sposobem dowiedziały się zające o rzepaku po za Zbruczem. Czy wzrok czy też węch przyszedł im tu w pomoc?

Seweryn Kisielewski.

Połtew, dnia 12 grudnia 1892.

(W sprawie rogaczy).

W grudniowym numerze „Łowca“, wyczytałem w korespondencyi z Kołomyi uwagę w sprawie widocznego coraz bardziej braku rogaczy starszych, pochodzącego w skutek często się zdarzającego trzebienia w niektórych kniejach koziołków jednorocznych, a nawet i młodszych, w języku łowieckim „kicami“ zwanych.

Ponieważ sprawa ta ogół łowiecki naszego kraju obchodzi, pozwalam sobie zabrać głos w tej sprawie i o ile to będzie w mej mocy wskazać przyczynę i środki zaradzenia złemu.

Szanowny autor korespondencyi z Kołomyi pisze, iż wartoby się zastanowić nad tem, czy nie lepiej zamiast dwuletnich koziołków, strzelać stare jałowe siuty. Ze zdaniem tem nie zgadzam się o tyle, że po pierwsze tego, co tak zbawienna ustawa krajowa, dnia 30. stycznia 1875 dz. u. kr. Nr. 16, zabraniająca strzelanie kóz bez wyjątku wprowadziła, pod dyskusyę poddawać nie należy. Gdybyśmy np. mieli ustawę, któraby postanawiała: „zakazuje się strzelania kóz (siut) z wyjątkiem kóz starych tj. jałowych“, to ustawa taka zamiast wywrzeć skutek przez prawdziwych myśliwych dobrze zrozumiany, przyniosłaby niezawodnie najfatalniejsze rezultaty. Nieliczni zaledwie myśliwi w całem tego słowa znaczeniu umieliby z ustawy tej korzystać w dobrze zrozumianym interesie swego zwierzostanu, przewaga zaś biłaby kozy bez wyjątku na karb ich rzeczywistej lub wymarzonej jałowości. Dopóki zatem istnieje nasza ustawa w dotychczasowem jej brzmieniu, nie mamy potrzeby, a raczej n i e w o l n o nam zastanawiać się nad strzelaniem kóz.

Również nie zgadzam się ze zdaniem szanownego korespondenta, który ochronę koziołków chciałby rozciągnąć aż do dwu lat. Kozioł dwuletni nie jest wprawdzie jeszcze „pełnoletnim“, ale jest już w pełni rozwoju i jako „widłak“ kwalifikuje się już niezaprzeczenie pod lufę. Że zaś złe, które dało szanownemu korespondentowi z Kołomyi motyw do podniesienia wspomnianych uwag, istnieje i że takowe z każdym rokiem się wzmaga, to rzecz niewątpliwa, lecz przyczyna jego leży w tem, że właściciele i dzierzawcy polowań, przestrzegając surowo przepisu ustawy zabraniającego strzelania kóz, patrzą przez palce na ubicie szpiczaka lub kica i z nieświadomości lub braku zastanowienia się nad skutkami, uchylają się od drugiego równorzędnego przepisu ustawy, który na równi z zakazem strzelania kóz wprowadza zakaz strzelania nieletnich koziołków. Tu leży przyczyna złego, a każdy z nas myśliwych nieraz już pewnie miał sposobność przekonać się, że ubicia szpiczaka nikt niemal nie uznaje za przekroczenie ustawy obowiązującej, a na uwagę któregoś ze starszych łowców „nie mordujcie dzieci!“ zawsze znachodzą się obrońcy, którzy myśliwego popełniającego owe dzieciobójstwo biorą w obronę i wszelkiemi sposobami starają się dowieść, że ubity koziołek nie jest już „szpiczakiem“ i pod kryteryum wspomnionego zakazu nie podpada.

Równie też nie słyszałem dotąd o wypadku, aby władze stojące na straży ustawy ukarały kogo za ubicie szpiczaka. Biedne niemowlę, które lada zbłąkany śrucik przyprawia o utratę życia, pada bezkarnie ofiarą krwiożerczości ludzi, którzy będąc wprawdzie czasem dobrymi „strzelcami“, nie zasługują na miano „myśliwych“. Taki uśmiercony szpiczak, bywa nawet otwarcie sprzedawanym na targach dziczyzny, a czasami jeszcze skazany jest na dekorowanie drzwi naszych nieocenionych handelków.

Że takie trzebienie szpiczaków przynosi ogromną szkodę naszemu zwierzostanowi, to rzecz pewna, i rozwodzić się nad nią chyba nie potrzeba, bo każdy myśliwy aż nadto dobrze klęskę tę rozumie.

Ależ jest przecie ustawa, są jej wykonawcy, a co najważniejsze, są i myśliwi, którzy swojem umiejętnem postępowaniem, zgodnie z duchem obowiązującej ustawy, władze wykonawcze wspierać, a gdzie potrzeba i można, na własną rękę skutecznie działać powinni.

Na wykorzenienie tego nałogu strzelania szpiczaków i kiców, podaję następującą receptę:

1) Towarzystwa łowieckie powinny uchwalić i w statutach swych umieścić przepis, że ubicie szpiczaka lub kica podpada pod pewną grzywnę n. p. na jaki cel dobroczynny, a kilkakrotne przekroczenie tego przepisu spowodować może wykluczenie członka z Towarzystwa.

2) Właściciele i dzierzawcy polowań przestrzegać winni surowo przepisu ustawy i przed każdem polowaniem zwracać się do myśliwych swoich z prośbą by oszczędzano szpiczaki.

3) Władze powołane do przestrzegania ustawy, tj. Starostwa powiatowe, powinny podwładnym organom surowo nakazać, ażeby targi dziczyzny często kontrolowano, a w razie przydybania odnośnych handlarzy na sprzedaży kóz równie jak i szpiczaków, pociągać tychże do surowej odpowiedzialności.

Podaję te środki zaradzenia złemu do powszechnej wiadomości w nadziei, że za ich pomocą i przy dobrej woli ogółu naszych myśliwych, potrafimy zapobiedz klęsce, która grozi degeneracyą naszej najszlachetniejszej zwierzyny.

Leopold Łysakowski.

Hawłowice 5. grudnia 1892.

(Z polowania).

Dnia 1go grudnia, byłem na polowaniu w Rączynie u Stefana Preka. Polowano w polach blisko dworu i wzięto cztery mioty, z których każdy miał większą lub mniejszą pośrodku remizę. Myśliwi stali pod drzewami, którymi drogi są wysadzane; uroku dodawało, że każdy myśliwy widział na całej linii zwierza i strzelców, a było go dosyć, szczególnie zajęcy, choć były także sarny, lisy i kuropatwy. Po-

lowanie prowadził wzorowo sam gospodarz. Obecni zaś byli panowie: Łastowiecki, Zdzisław i Eustachy Wolscy, Władysław Bzowski, Wacław Oborski, Kazimierz Zbyszewski, Władysław Górski, Mieczysław Marynowski, Brykczyński Józef, Fedorowicz i niżej podpisany, razem 12 strzelb. Ubito 69 zajęcy na miejscu, 2 znaleziono na drugi dzień, więc 71, dwa lisy i 7 kuropatw. Rogacze poszły przez nagonkę niestrzelane.

Wieczór spędziliśmy przyjemnie w gościnnym domu gospodarza, a opowiedziawszy sobie różne zdarzenia myśliwskie, po doskonałym objadku, zasiedliśmy do winta z przykupką i ćwiokiem, przy którym zdarzały się jak zwykle różne niespodzianki — i niejeden myśliwy, przed którym w dzień rulowała zwierzyna, rulował sam przy zielonym stole i to po parę razy.... W nocy rozjechaliśmy się unosząc z sobą przekonanie, że chwile rozkoszy prędzej przemijają niżbyśmy tego pragnęli. *Teofil Żurowski.*

Łańcut, 15 grudnia 1892.

(Jeszcze o lisach).

Wyczytawszy w „Łowcu“ z listopada o mnogości lisów w Szwecyi, uważam za stosowne słów parę z własnej praktyki, nie szwedzkiej, ale galicyjskiej przyłączyć.

Cyfra 836 lisów, ubitych w jednym okręgu administracyjnym, jak na Szwecyę wcale nie przedstawia się mi tak bardzo zastraszająco, zwłaszcza że i u nas w Galicyi, gdzie kultura bezwarunkowo wyżej stoi, coś bardzo zbliżonego również trafić się może. W okolicy Łańcuta np., na polach tylko, ubiła straż polna (4 strzelców) na przestrzeni około 10.000-morgowej w przeciągu 10-ciu miesięcy l i s ó w 90. Doliczywszy do tego lisy na polowaniach gremialnych strzelone i zimą potrute, śmiało okrągłą liczbę 150 przyjąć można. Nadto ubito: psów 126, kotów 382, wyder 3, kun 7, tchórzy 15, łasic 83, jastrzębi kuropatwiarzy (dużych) 56, jastrzębi małych 155, kruków 10, wron i srok 750, razem sztuk 1837. Cyfry powyższe jak na nasze stosunki są bezwarunkowo przerażające, a to tłumaczy, dlaczego u nas z małemi tylko wyjątkami, tak mało zwierzyny pożytecznej. Przyczyna złego leży i w tem, że mało gdzie u nas znajdują się większe i łączne obszary pól, gdzieby zwierzyna miała spokój i schronienie. Po największej części, ciągną się pola, zwłaszcza włościańskie, wąskiemi, zaledwie parę sążni szerokiemi smugami wzdłuż obok siebie, a tu jedną miedzą pasie chłopek swoje bydle, drugą znów idzie w dalsze swe pola do kośby lub żniwa, a biedny zając ciągle będąc niepokojonym, wynosi się w dalsze, obszerniejsze i spokojniejsze obszary, gdzie znów lis, nieprzyjaciel śmiertelny wszystkiego co pożyteczne, nie mając na polach włościańskich co robić, w najlepsze plondruje i niszczy.

W miarę coraz większej parcelacyi gruntów, a staranniejszej uprawy każdej niemal piędzi ziemi, znikły z widowni zarośnięte tarniną i innemi krzewami miedze, okopy, wklęsłości, krzaki i inne nieużytki, a że się natomiast nie pojawiają sztuczne remizy jako schroniska zwierza, znika zwierz łowny coraz bardziej. W końcu i lud nasz nie dorósł jeszcze wiedzą i poszanowaniem cudzej własności do cywilizacyjnej wysokości krajów zachodnich, gdzie zwierzyna powszechnie jest szanowaną, jako dobro krajowe; przeciwnie, co tylko żywego w polu się ujrzy, to się u nas zabija i niszczy, a tak nikt z tego nie ma pożytku. W końcu nadmienić i to muszę, że nie każden właściciel polowania jednakowo i odpowiednio dba o zwierzynę pożyteczną, a szkodliwy niedość energicznie prześladuje, nawet lisa tu i owdzie dla marnego futra i przyjemności strzelania pielęgnuje i ochrania, i stąd pochodzi, że choć się dziś wybije i wyniszczy drapieżników na pewnem terytoryum, to jutro znów z innego terytoryum nadejdą i końca temu nie ma, a zajęcy coraz mniej.

Niech więc wszyscy właściciele polowania bez wyjątku, kierują się jedną i tą samą myślą tj. zwierzynę pożyteczną hodują i pielęgnują, drapieżną zaś wszelkiemi możliwemi sposobami tępią, a z pewnością zwierzostan w kraju się podniesie. *W. L.*

Z Dobromilskiego 20. grudnia 1892.

(Prozą i wierszem).

Posyłam wiersz myśliwski, osnuty na autentycznem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem w naszej okolicy:

Młody Nemrod jadł śniadanie,
Gdy wtem wbiega leśny stary:
„Jaśnie panie — polowanie!
„Dziki weszły między jary —
„Lecz ostrzegam — bo mi znane
„Te bestyje ostrzelane —
„Choćby wyszły i na sztych,
„Nikt nie zmoże bestyj tych.
„Chyba jakie gusła zmogą,
„By nie poszły swoją drogą!“

Nemrod się odgadnąć stara,
Jakich guseł użyć ma —
Gdzie jest dobra gwiazda ta,
Z której płynie w szczęście wiara?

Wtem zię ozwie głos z za stołu,
Cichym szeptem zaszeleści:
„Chcę oszczędzić Ci mozołu,
„Niech się oko Twe napieści...“

I wysuwa nóżkę małą,
I pończoszki kraj uchyla:
„Tu znajdź szczęścia siłę całą,
„Niech Twa ręka dobrze strzela!“
On wybiega — z nim gajowy —
Tuż za jarem dzików stadko.
Dwa dubletem ubił gładko,
W mgnieniu oka skończył łowy.

Więc pamiętaj — że na dziki
Idąc, patrzaj na trzewiki,
I jak zwyczaj każe stary,
Uchyl z lekka kraj kotary,
A nabierzesz w szczęście wiary —
I... w trzewik panny Barbary.

Fakt ten głośno tu kursuje
I krew pannom bardzo psuje,
Lecz choć głośno narzekają,
Wynalazku się nie kają,
I choć każdej raczek świta,
O czas łowów... chętnie pyta.

Historyę tę słyszałem jeżdżąc po powiecie, i nic zabawniejszego nie widziałem w świecie, jak gdy Panna Barbara, rumieńcem oblana, tą całą historyjką była sekowana, i gdy marszałek ze mną będący z wizytą, o wszystko wypy-

tywał z filuteryą skrytą, a chcąc na tapet wywieść pewnego wabika, chciał oryginał widzieć owego trzewika. Panna długo zwlekała — długo się sromała, lecz w końcu miast trzewika.... pończoszkę podała. *Ada.*

Gródek (w Mińskiej gubernii), w grudniu 1892.

(Z własnych przygód).

Tego roku na Litwie dużo było słonek na ciągach wiosennych. Jeździłem co wieczór i pukałem do woli, ale zabiłem tylko kilka przez miesiąc. Zdarzyło się przytem coś niezwykłego.

Na jednem miejscu pukałem przez kilka wieczorów, więc słonki zmieniły linię ciągu i na mnie tego wieczora żadna nie nadleciała, upatrzyłem jednak dobrze, przez jakie miejsca ciągną i nazajutrz stanąłem wśród korczowiska pozarastanego tu i owdzie jedlinkami małemi a gęstemi. Stoję, aż tu nadlatuje trzy słonki. Strzeliłem — czwarta leci — i do niej huknąłem. Nienaruszona minęła mnie, lecz powraca nazad, robi koło nademną, i widziałem wyraźnie jak mi się przypatrywała. Naturalnie strzeliłem do niej lecz i teraz odleciała z krzykiem. Widocznie chciała się tylko przypatrzyć, kto tak dużo huczy a nie ubija, bo przyznaję się, że wlot strzelać dobrze nie umię. Drugi raz zdarzyło mi się tak na ciągu słonek: Odwiódłem obydwa kurki, i strzeliłem z jednej lufy — a wtem padłem ogłuszony na ziemię — na wznak. Słonka moja poleciała, a ja patrzę i rozmyślam, co się ze mną stało? Aż widzę: obydwie lufy wystrzeliły, strzelba targnęła i ja dla tego upadłem, co zresztą nie dziwnego, bo mierzę 118 centymetrów a liczę już 53 lat wieku.

Miałem jeszcze inną przygodę. Pojechałem z dojeżdżaczem przez las, przeprowadzić psy gończe należycie zesforowane. Wtem jakiś ptak porwał się i nad samą ziemią ledwo leci, jakby nie umiał latać, trochę biegnie, a trochę leci. Moje gończaki zerwały się i pobiegły za nim jakie 300 kroków. Ja stanąłem i dziwię się, co to może być? Aż tu ów ptak wraca, lecąc już szybko, i spuszcza się na ziemię blisko mnie, siedzącego w powozie z dojeżdżaczem, i siadł. Poznałem słonkę, lecz o dziwo! widzę, wzięła w łapki małe pisklątko, i poniosła je o jakie 200 kroków odemnie. Spuściła się w wielkie złomy, które burza powywracała i pokręciła tak, że trudno tam ~~dostąpić~~, nie tylko człowiekowi, ale i psu, i tam swoje małe schroniła. Ruszyłem tedy zaraz z miejsca, żeby psy przestały już niepokoić tę troskliwą matkę.

Opowiadałem o tem wytrawnym myśliwym, co ciągle po lasach chodzą, i jeżdżą, i powiedzieli mi, że widzieli często, iż słonka swoje małe nosi w łapkach, jak tylko je ktokolwiek napastuje. *Andrzej Popowicz.*

Z Warszawy w grudniu.

(Towarzystwo łowieckie).

W dniu 25. listopada odbyło się doroczne zgromadzenie Towarzystwa rozmnażania zwierzyny i racyonalnego polowania. W zebraniu wzięło udział 130 członków.

Ogłoszone drukiem sprawozdanie obejmuje okres 21 miesięczny od 1-go czerwca r. 1890 po 1-go kwietnia r. 1892, i przedstawia szczegółowo działalność Towarzystwa w tym czasie. Właściwy cel Towarzystwa, którym jest ochrona zwierzyny, starano się osiągnąć takiemi środkami, jak urządzenie miejsc ochronnych na przestrzeni 60.756 morgów, odroczenie terminów polowania na kuropatwy i zające, tępienie psów błądzących, odbieranie strzelb kłusownikom (odebrano 4,000 sztuk broni), pociąganie do odpowiedzialności za łowienie kuropatw w sposób niedozwolony i t. p. Prócz tego dla warszawskich swych członków Towarzystwo wydzierżawiło prawo polowania od włościan w trzech różnych miejscowościach. Jedną z nich jest 10 wiosek w Księstwie Łowickiem w odległości dziewięciu wiorst od Łowicza i przeszło 400 włók przestrzeni mających, drugą — tyleż prawie wiosek i tej samej rozległości około Nowego Dworu, a trzecia wreszcie miejscowość znajduje się pod Białą. Prawo dzierżawy we wszystkich tych miejscowościach przysługuje Towarzystwu już od lat dwóch, ale celem szybszego rozmnożenia zwierząt łownych, zamknięto w Łowickiem i Nowodworskim polowanie, zwłaszcza na kuropatwy; polowanie na zające zaś prawdopodobnie już w r. b. będzie dozwolone. Trzecia miejscowość natomiast z pośród wyżej wymienionych, jako wyłącznie błotnista i dla polowania na ptactwo przelotne przeznaczona, stoi otworem dla wszystkich członków od chwili wzięcia jej w dzierżawę.

Sprawozdanie zawiera wzmiankę w przedmiocie nowego prawa o polowaniu dla Królestwa Polskiego. Dla Cesarstwa nowe przepisy w tym względzie weszły już w wykonanie w lutym r. b., odrębny zaś projekt przepisów dla Królestwa Polskiego i Kurlandyi złożono dopiero w ministeryum dóbr państwa, które poczyni w nim pewne uzupełnienia. Towarzystwo ze swej strony w przesłanym do Petersburga w swoim czasie projekcie zebrało wszystkie dane, oparte na wszechstronnem zbadaniu rzeczy i warunków miejscowych.

W okresie sprawodawczym Towarzystwo liczyło 1,360 członków (466 z Warszawy, 894 z prowincyi), czyli o 490 więcej niż przed dwoma laty. Majątek Towarzystwa wynosi 24.215 rs. 96 kop., przewyżka przychodów nad wydatkami 9.654 rs. 22 kop.

Komisya rewizyjna, w imieniu której przemawiał p. Sulistrowski, oprócz wniosku co do zatwierdzenia działalności rady, przedstawiła jeszcze kilka wniosków, tyczących się zaległości nieuiszczonych wkładek, już to przez odpisanie, już to przez energiczniejsze upomnienie się o spłaty u zalegających.

Wszystkie odnośne wnioski uchwalono bez rozpraw.

Odczytano następnie wnioski i komunikaty rady. W pierwszym wniosku, stwierdzając zupełny brak u nas podręczników o hodowli i ochronie ptactwa łownego, rada proponuje ogłoszenie konkursu na napisanie trzech takich broszur. Drugi wniosek, mając na względzie zachętę i troskliwszą niż dotąd ochronę zwierzostanu krajowego, wyznacza dla tych z grona członków, którzy najwięcej położą starań około wytępienia ptactwa drapieżnego, odpowiednie nagrody, mające wartość już to pamiątkową, już to przedmiotową. Prócz tego rada pragnie udzielić podziękowanie kilku członkom, którzy przyczyniali się najgorliwiej do rozmnożenia zwierzyny, oraz zaprosić na członków stałych tych, ktorzy poprzednio położyli zasługi dla Towarzystwa.

Zebranie ogólne przyjęło wszystkie te wnioski, upoważniając zarazem radę do szczegółowego opracowania warunków konkursu na podręczniki, tudzież zasad, na których udzielane będą nagrody za tępienie szkodliwego zwierza i ptactwa.

Dokonane w końcu wybory dały rezultat następujący:

Na prezesa oddziału wybrano ponownie generała Sidorowa, na kasyera p. Bandtke-Stężyńskiego. Jako członkowie rady weszli pp.: Julian Biesiekierski, Wł. Słonczyński, Aleks.

Jełowiecki, Feliks Godycki Cwirko, gen. Friderichs, gen. Fulten, Józef Dłużewski, gen. Mejer, ks. Maciej Radziwiłł, hr. Aleks. Berg, hr. August Potocki i Aleks. Wysocki. Do sekcyi ochrony i polowań pp. St. Rewieński, Medard Kossakowski, Alfred Bąkowski, Henryk Malhomme, Tomasz Zydel, Adolf Bauernfeind, Wacław Aulejtner, Konowałow i Ludwik Lipold.

W końcu przyjęto przez balotowanie 25 nowych członków.

W.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Starzawie, w kniejach należących do dóbr rządowych, polował d. 19. grudnia Arcyksiążę Leopold Salwator w towarzystwie Arcyksiężny Blanki i księżniczki Beatryczy Burbon. Polowano głównie na dziki. Pora nie była sprzyjająca, mimo to polowanie powiodło się wybornie. Ubito 5 dzików, z których jeden padł od strzału arcyksięcia Leopolda. W polowaniu tem, które pod naczelnem kierownictwem zastępcy dyrektora lasów i domen państwowych, radcy lasowego p. Ed. Zieglbauera, prowadził miejscowy zarządca p. Lipiński, brali udział: hrabina Puppi, podpułkownicy Sturm i Nachodski, hr. Lazarini, major Wurm, kapitan artyleryi hiszpańskiej Porte d'Aosta i kapitan Pregler.

— W Lisowicach, na dziewięciodniowem polowaniu jesiennem w październiku, ubito: 25 dzików, 8 rogaczy, 31 zajęcy, 1 wydrę, 40 lisów, 2 cietrzewie, 14 jarząbków, 37 słonek i 3 sowy uralskie, razem 161 sztuk.

— W Radziechowie u hr. Stanisława Badeniego odbyło się od 12. do 17. grudnia polowanie w 9 strzelb, w którem wzięli udział: namiestnik J. E. hr. Kaźmierz Badeni, hr. Stanisław Badeni, hr. Albert Cetner, Adam Fedorowicz, Stanisław Niezabitowski, August Stojowski, Seweryn Skrzyński, Zdzisław Skrzyński i Dr. Ziembicki. Ubito 15 dzików, 7 lisów, 27 kozłów i 187 zajęcy.

— W Brześcianach, u p. majora Pawlikowskiego, odbyło się d. 13. grudnia polowanie w 18 strzelb. Ubito na niem 1 dzika, 15 zajęcy, 9 rogaczy i 5 kóz. Jedna zabiła się sama. Kóz, których pozwolono przez c. k. namiestnictwo 15 sztuk odstrzelić, można było zabić 50, lecz mimo tego tak mało myśliwych miało odwagę strzelać do nich, że zaledwie 4 ubito. Widoczne uszanowanie dla płci pięknej. Przyczyna, iż tak mało zajęcy padło, była odwilż; wszystkie szaraki wracały na pogonkę. *J. O.*

— W Mostach wielkich, na polowaniu odbytem w dniu 11. grudnia w ośm strzelb, ubito 5 kozłów i 23 zajęcy.

— W Daszawie, majątku pani Felicyi Sozańskiej, na pięciodniowem polowaniu w grudniu ubito: 7 dzików, 32 rogaczy, 6 lisów, 24 zajęcy, 1 jarząbka. Z przyjemnością przychodzi mi skonstatować, że stan sarn widocznie podniósł się od roku przeszłego; nie było miotu, by sarn kilka lub kilkanaście nie widziano, a cyfra ubitych rogaczy byłaby większą, gdyby nie to, że w miotach na dziki branych, których tropienie, wspomnę nawiasem, wskutek brzydkiej aury trudnem było, pierwszy strzał był do tychże rezerwowany. W końcu miło mi tutaj łaskawej właścicielce tego polowania, w imieniu całej drużyny myśliwskiej, złożyć serdeczne podziękowanie za gościnność zdawna znaną w dworze Daszawskim i za prawdziwą przyjemność, której uczestnicy tych uroczych łowów doznali. *Juliusz Tarnowski*, delegat sokalski.

— W Krukienicach, majątku hr. Drohojowskiego, odbyło się dnia 24. grudnia polowanie pod umiętnem kierownictwem tamtejszego leśniczego p. Ketza w pięć strzelb. Ubito 6 lisów, 11 rogaczy i 27 zajęcy. Sarn widziano co najmniej 200, między tymi 10 do 15 rogaczy starych, 20 do 30 rogaczy młodych i 150 do 160 kóz, a między temi widocznie starych, jałowych co najmniej 50. *S. B.*

— W Oleszy u p. M. Johna, na polowaniu odbytem d. 15. grudnia w piętnaście strzelb, ubito 2 kozły i 60 zajęcy. Zwierzostan jest lepszy niż w latach ubiegłych.

— W Pacykowie, majętności p. Brykczyńskiego, odbyło się polowanie w wilię Bożego narodzenia, na którem w sześć strzelb ubito 3 dziki, 2 rogaczy, 2 lisy i 14 zajęcy.

— W Ulicku, majętności p. E. Bielskiej, na polowaniu prowadzonem w 8 strzelb przez p. S. Irsaya, padł rogacz, lis i 8 zajęcy.

Z Królewstwa polskiego.

— W Jabłonowie u hr. Augusta Potockiego odbyło się w dniach 1. i 2. grudnia polowanie doroczne w dwanaście strzelb. Brali w niem udział hrabianka Natalia Potocka, ks. Jerzy Radziwiłł, hr. Plater z Wilna, ks. Stefan i Zdzisław Lubomirscy, C. Hornowski, Wiktor Reszke, B. Rzewuski, konsul ang. Grant, Jerzy Faushawe, K. Zieliński i gospodarz. Pierwszego dnia łowów ubito 130 zajęcy, 3 kozły i lisa, drugiego dnia 297 zajęcy, 6 kozłów i 8 kuropatw. Hrabianka Natalia ubiła 5 zajęcy; królem polowania był ks. Jerzy Radziwiłł, który zabił 40 sztuk.

— W Nieborowie, u ks. Michała Radziwiłła, polowano w dwadzieścia strzelb w ostatnich trzech dniach listopada. Uczestnikami polowania byli: Andrioli, hr. Ksawery Branicki z żoną, hr. Czosnowski z Wołynia, konsul Grant, br. Kapherr, hr. Kaźmierz Krasiński, Ks. Zdzisław Lubomirski, hr. Potoccy, Radoszewski, ks. Jerzy Radziwiłł, Rembieliński, Józef Weysenhof i książęta Woronieccy. Wynik polowania, w obec bardzo starannie utrzymanego zwierzostanu, był świetny. Padło 530 zajęcy, 1 kozioł, 1 lis, 129 bażantów, 54 kuropatw i 2 cietrzewie, razem 717 sztuk. Królem polowania uznano hr. K. Krasińskiego, który ubił 56 sztuk.

Fotograf Makrat zdjął 4 udatne grupy z tych pięknych łowów. Wieczorem odbył się teatr amatorski.

KRONIKA.

Rzadki okaz. Dnia 18. grudnia 1892 na polowaniu w Szepetówce ubito czarnego wilka (*Canis lycaon*). Jest to odmiana rzadka, o której nasz Konstanty Pietruski wspomina, iż w Stryjskiem, w Turzem, roku 1850 było ich 4 sztuki, a jeden okaz złapał się w żelaza. Nie należy sądzić, by to był mięszaniec z psem domowym, bo wiadomo, iż psy mają w ogólności wielki wstręt do wilka; zresztą łopata ubitego okazu jest typowa jak u wilka, gruba, obrosła — a ilość kręgów zgadza się w zupełności z ilością kręgów u zwyczajnego wilka.

Górski w swem dziele „Historya naturalna“ z r. 1836 wspomina: „Gatunek ten w Europie bardzo rzadki, tu i owdzie pojedyńczo natrafiany, któremu za ojczyznę zimne strefy Europy, Azyi i Ameryki naznaczają — w kilku egzemplarzach w r. 1812 na Litwie by

ubity". Brehm w swem dziele (Tom I. str. 526) twierdzi, że jest to tylko odmiana — lecz widocznie nie miał sposobności ani obserwowania ani widzenia tego zwierzęcia, tak samo, jak twierdzi, że w Galicyi i Węgrzech jest dwa gatunki wilka, t. j. trzcinowy i leśny. Nasi Towarzysze wytłumaczą sobie zresztą sami, że i sławnemu Brehmowi nie można na ślepo wierzyć.

Obecny okaz tego wilka darowanym został przez hr. Romana Potockiego do Muzeum im. Dzieduszyckich. Należy tu zauważyć, że już w jesieni r. 1890 ubito w temże samem miejscu dwa podobne wilki jednego darował wówczas hr. Roman Potocki do Warszawy, drugi jest wypchany w Łańcucie. Oba ówczesne okazy były pierwszoletnie, obecny jest w 3-im roku.

Na wystawę. Radca lasowy, p. Edward Zieglbauer przysłał na zaczątek dla przyszłej wystawy łowieckiej rysia ubitego w Rachini. Znajdzie pewnie godnych naśladowców, gdyż wątpić się nie godzi, że nasza drużyna myśliwska pospieszy ze swemi trofeami jak jeden mąż na krajową wystawę r. 1894.

Dworskie polowania. Dnia 7 listopada polowano w Neudorfie. Między myśliwymi był też hr. L. Wodzicki. Ubito 490 zajęcy i 42 kuropatw.

Dnia 19 listopada odbyło się polowanie w Eslingen, w którem także między innymi myśliwymi, przeważnie posłami zagranicznymi, brał udział hr. L. Wodzicki. Było razem strzelb dziewiętnaście. Padło 4 kozły, 1077 zajęcy, 1 królik, 1 bażant i 96 kuropatw.

Dnia 1. grudnia, na polowaniu w Vösendorfie, w 15 myśliwych, między którymi był również hr. Wodzicki, ubito 785 zajęcy i 93 kuropatw.

3465 zajęcy oprócz 11 sztuk innej zwierzyny, padło na dwudniowem polowaniu w dniach 15 i 16 listopada w dobrach Sokolnickich hr. Włodzimierza Mittrowskiego na Morawie.

W Konopiście, dobrach należących do Arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d' Este, na polowaniu, odbytem w dniach 14, 15 i 17 listopada, padło 5 kozłów, 1985 bażantów, 407 kuropatw, 3770 zajęcy, 851 królików, 2 putery amerykańskie i 3 dzikie pantarki.

Na Węgrzech, w majorackich dobrach margrabiego Pallaviciniego Mindszent Algyö, polowano od 30 listopada do włącznie 3. grudnia. Knieje okazały się nadzwyczaj bogate w zwierzynę. Ubito: 2 kozły, 155 bażantów, 7107 zajęcy, 56 kuropatw i 8 sztuk drapieżnego ptactwa. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand d' Este, który brał w tem polowaniu udział, położył sam 1787 sztuk zwierzyny.

Polowanie dworskie cesarza niemieckiego w Göhrde odbyło się w dniach 18 i 19 listopada. Sztreka z obu dni wykazała: 31 jeleni, 52 łani, 263 dzikich świń i 4 kozły. W łowach brał także udział rosyjski W. książę Włodzimierz i ubił 9 jeleni i 24 dzikich świń.

Jeden żubr padł z ręki cesarza niemieckiego w dniu 29 listopada z. r. na polowaniu w kniei księstwa Pszczyńskiego na Szląsku pruskim, w Jankowicach, gdzie jeszcze mała kolonia żubrów staranaie jest chodowaną. Cesarz Wilhelm II. ubił go z trybunki trzema kulami, z których pierwsza trafiła zwierza na szpic dwie, inne zaś w komorę.

Niedźwiedzia ważącego 120 kilogramów ubito ostatniemi czasy w dolinie Brenty w Tyrolu południowym, gdzie już niedźwiedzie do bardzo rzadkich zjawisk należą.

Polowanie na wilki. W okolicy Belgradu w dolinie Rakowickiej pojawiły się w znacznej ilości wilki i poczęły wyrządzać mieszkańcom szkody w bydle. Urządzono przeto obławę i zabito trzy sztuki. W czasie polowania zdarzył się jednak wypadek, który mógł za sobą pociągnąć smutne skutki. Fabrykant Gogl z Belgradu brał udział również w polowaniu i strzeliwszy do wilka, trafił go. Wilk padł. Gogl pospieszył po zdobycz, tymczasem wilk stanął, chwycił go za nogę i począł gryźć. Gogl nie miał już ani jednego naboju i bronił się kolbą. Zażarty wilk gryzł jednak z taką wściekłością, iż nie wiele brakowało, by zgruchotał kość myśliwego. Na szczęście trafny strzał towarzysza łowów położył wilka trupem.

Przy ognisku w lesie podczas śniadania, po wzięciu kilku dobrych miotów, obfitych w lisy, siedziało nas kilku myśliwych. Wesoło krążył kieliszek, humory były wyśmienite — to też anegdoty sypały się jak z worka. W końcu wszczął się poważniejszy dyskurs, jak się właściwie przed miotem stać powinno? Jedni twierdzili, że najlepiej stać z a grubem drzewem, inni że p r z e d drzewem, a były i głosy, że najlepiej zasłonić się krzakiem do połowy piersi — aż w końcu zabrał głos wytrawny myśliwy, który już i niedźwiedziom pod żebro lufą zaglądał, i tak mówi:

„Przyznam się, że nie wiem, o co się sprzeczacie. Ja zawsze stoję o ile możności na czystem, skąd mam obszerny widok — stoję jednakże, cicho jak wryty i nie ruszam się. Że to jest najlepszy sposób i dzisiaj się przekonałem. W ostatnim miocie stanąłem według mojej zasady. Po niedługiej chwili patrzę, smaruje lisiura na 30 kroków wprost na mnie. Ja nic — lisiura sadzi dalej — przychodzi na 20 kroków — ja nic — idzie dalej na 10 kroków, i bacznie mi się przygląda. W końcu zawija kitą pod siebie siada jak pies i czytam w jego oczach jak do siebie mówi: „Jak Boga kocham, to nie człowiek!" A ty hultaju jakiś, powiadam, ja cię tu zaraz przekonam z kim masz do czynienia — i celnym strzałem w łeb położyłem go na miejscu. A co? czyż nie mam słuszności?"

Nie było czasu oponować, bo już trąbka łowczego zagrała.

Krótkowidzący. Braliśmy miot zajęczy. Nagonkę składało 15 małych chłopaczków, bo starszych trudno było z powodu zbioru kartofli dostać. Cicho jak makiem siał. Słychać trąbkę łowczego, nagonka rusza i widzimy wszyscy jak zajęczyna sadzi przez rzadkie krzaki i w odległości 5 kroków staje słupka tuż przed jednym z myśliwych, uzbrojonym w angielską strzelbę i w ogromne okulary, których z powodu krótkiego wzroku używa. Czekamy strzału, ale napróżno, cisza jak przedtem, aż naraz słychać głos owego myśliwego: „A pójdziesz ty smarkaczu stąd? tu panowie stoją". Na takie „dictum" zając skoczył jak oparzony, a cała linia myśliwych trzęsła się od śmiechu.

Oczywiście nasz Nimrod krótkowidzący wziął zająca za naganiacza.

Szanownym członkom gal. Towarzystwa łowieckiego przypominamy, że wkładkę należy z początkiem roku uiszczać, i że od tego zależnem jest regularne otrzymywanie „Łowca".

Tych Szanownych członków, którzy przez zapomnienie jeszcze wkładki za rok ubiegły nie uiścili, upraszamy o nadesłanie zaległości wraz z wkładką na rok 1893.

Władka, podobnie jak prenumerata, wynosi **5 zł. w. a.** rocznie.

Z pozostałego jeszcze małego zapasu kalendarza kieszonkowego „Łowca" przesyłamy na żądanie egzemplarze po 1 zł. 20 ct. wraz z opłatą pocztową.

Do dzisiejszego numeru dołączamy tytuł i spis rzeczy do rocznika z r. 1892.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.